

MARTA GUZOWSKA // LESZEK TALKO

# LUCJA SŁOTKA

SEZON 1  
ODCINEK 2



**Milione**r, **któ**ry  
**napisa**ł **testamenty**

WIELKA LITERA



MARTA GUZOWSKA // LESZEK TALKO

# LUCJA SŁOTKA



**Milioner, który  
napisał testamenty**

Projekt graficzny okładki  
*Porysunki / Magda Danaj*

Redaktor prowadząca  
*Monika Koch*

Redakcja  
*Berenika Wilczyńska*

Korekta  
*Elżbieta Łanik*  
*Teresa Zielińska*

Copyright © by Marta Guzowska i Leszek Talko, 2022  
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2022

ISBN 978-83-8032-812-9



Wielka Litera Sp. z o.o.  
ul. Kosiarzy 37/53  
02-953 Warszawa

Konwersja: eLitera s.c.

odwiedź nas na



# Spis treści

Karta tytułowa

Strona redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

# Rozdział 1

„Oczekuj niespodziewanego” – mówi stare przysłowie i chciałabym spotkać mądralę, który je wymyślił. Już widzę, jak biega po apartamencie w alei Róż, rozstrzygając co chwilę dylematy w rodzaju: „Pani szanowna, a ten ornament to gdzie dać?”. I kiedy rozstrzygnie już wszystkie, rozlega się dzwonek u drzwi i pojawia się niespodziewane we własnej osobie – czyli Jan Koniecpolski.

Och, przepraszam. Nie Jan Koniecpolski, tylko John Polend. Zapewne zde gustowany trudnym do wymówienia nazwiskiem zmienił je na podobne (choć nie do końca), kiedy tylko jego stopa dotknęła australijskiej ziemi jakieś pięćdziesiąt lat temu.

Zmiana nie pomogła, Jan Koniecpolski był zde gustowany wszystkim od urodzenia. Z całą pewnością bardzo nisko ocenił starania matki, ojciec również niespecjalnie przypadł mu do gustu, a reszta życia nie okazała się tym, czego oczekiwał. Nie omieszkał więc dawać światu do zrozumienia, jak bardzo jest tym wszystkim zde gustowany.

Niewykluczone, że był także zde gustowany własnym wyglądem, chociaż nie pomyślelibyście o nim „emeryt”. To ten typ faceta, którego ogląda się w reklamie rejsów oceanicznych: z burzą siwych włosów, opalenizną i wyraźnymi efektami operacji plastycznych (Polend przeszedł co najmniej dwie – plastykę oczu i wszczepienie implantów policzków). Brakowało mu tylko fajki i kapitańskiej czapki.

Wielu ludzi cieszyłoby się także, że ich wartość netto wynosi dwanaście przecinek sześć miliona dolarów (oczywiście sprawdziłam). Ale nie John Polend. On był zde gustowany

faktem, że jego dom w Melbourne kosztował zaledwie cztery miliony dolarów, podczas gdy dom Billa Gatesa był dwadzieścia pięć razy droższy. Nie wspominając o reszcie aktywów na koncie, które byłyby wyższe, gdyby nie niekompetentni pracownicy. Sądząc po zdegustowanych słowach Polenda, skutecznie ogałali go z gotówki, co uniemożliwiło mu w wieku osiemdziesięciu lat kupienie porządnego jachtu z ładowiskiem dla helikoptera.

Krótko mówiąc, ten oto człowiek stał w progu mieszkania z grymasem zdegustowania na twarzy i byłam w stanie założyć się o milion dolarów (w gotówce), że zaraz powie: „Jestem zdegustowany”.

Wiecie co? Wygrałabym ten zakład.

Odkąd pracuję jako Home Disaster Manager, niewiele rzeczy mnie zaskakuje. Telefon w środku nocy podczas jazdy samochodem, kiedy akurat policjant zatrzymuje mnie za przekroczenie prędkości, również mnie nie zaskoczył. Podobnie jak natarczywy głos, domagający się rzeczy niemożliwych.

– Pani Łucja Słotka?

– Lucja – poprawiłam, dając policjantowi znak, żeby poczekał chwilę z tym mandatem.

– Pani Łucjo. – Głos w słuchawce nie przyjął do wiadomości pomyłki. – Proszę dla mnie szybko kupić i wyremontować mieszkanie. Oczywiście w alei Róż, w Warszawie...

– Jakie ma być to mieszkanie? – zapytałam.

– Olbrzymie i oszłamiające – uściślił głos.

– I to już wszystko? – zapytałam.

– A, nie. W tym mieszkaniu ma się zebrać moja ukochana rodzina – dodał głos i wyczułam złośliwą satysfakcję. –

Czy to zadanie pani nie przerasta?

– I to już wszystko?

– Potrzebuję kogoś na miejscu, kto będzie nadzorował remont. Przylatuję do Polski za miesiąc i nie mam czasu się w to bawić. Wszystko ma być na tip-top. Oczekuję, że stanie pani na wysokości zadania. Rozumiemy się.

To ostatnie nie było pytaniem, ale stwierdzeniem faktu.

– Rozumiemy się – odparłam i podałam sumę. Dwukrotnie wyższą, niż wynoszą moje stawki. Ale odbieranie telefonów w środku nocy i w środku rozmowy z policjantem ma swoją cenę i jest to cena wygórowana.

John Polend nie targował się, co kazało mi powtórnie przemyśleć stawki dla osób dzwoniących w złym momencie. Przemyślenia były krótkie: zdecydowałam, że następnym razem je podniosę. Polend powiedział natomiast, że wszystko ma zostać dopięte na ostatni guzik, zwlekające z zakończeniem ekipy fachowców mają zostać rozerwane na strzępy przez dzikie zwierzęta (ujął to inaczej, ale do tego się sprowadzało), a zaginieni członkowie rodziny – odnalezieni i doprowadzeni na miejsce w kajdanach (to też ujął w nieco innej formie). Wszystko najpóźniej w dniu jego przyjazdu do Polski.

A teraz stał przede mną zde gustowany.

– Jestem bardzo zde gustowany. – Skrzywił się jeszcze bardziej, rozglądając się po apartamencie. – Tu wszystko jest jeszcze w proszku.

Nie wiem, jaki macie gust i czy lubicie rozety na suficie, meble kuchenne rzeźbione w liście, witraże między pokojami i podłogę intarsjowaną wstawkami z marmuru w drewnie sprowadzonym z dalekiego afrykańskiego kraju, gdzie

zapewne pozyskano je z tysiącletnich drzew pod ścisłą ochroną, ale tak właśnie Jan Koniecpolski wyobrażał sobie luksus i ten blichtr bił po oczach. Wrażenie psuło tylko kilku robotników, którzy zwijali płachty foliowe i poprawiali ostatnie drobne niedoróbki. Ekipa sprzątająca robiła swoje w pokojach, w których oni już skończyli.

– Jak pani sobie wyobraża przyjąć tu dziś wieczorem moją ukochaną rodzinę?! – fuknął, zde gustowany. – Mówiono mi, że jest pani najlepsza, a tymczasem remont w powi-  
jakach, a ja musiałem sam złapać taksówkę na lotnisku, bo nie przysłała pani limuzyny.

Spojrzał na mnie z potępieniem przyprawionym pewną dozą zde gustowania. Wytrzymałam jego spojrzenie.

– Dwudziestego siódmego.

– Słucham?

– Byliśmy umówieni na dwudziestego siódmego. Taką datę przylotu podał mi pan w korespondencji. Dzisiaj jest siedemnasty.

– Nic podobnego! – oburzył się. – Proszę, tu jest mejl, który do pani wysłałem, z wyraźną informacją, że planuję imprezę rodzinną, przybędę rano i oczekuję, żeby wszystko było przygotowane.

– Dwudziestego siódmego. – Wskazałam mu palcem odpowiednie miejsce na wydruku.

Zerknął na kartkę i nawet jeden mięsień nie drgnął mu na twarzy. Większość ludzi poczułaby się głupio po wszczęciu awantury z powodu literówki, którą sami zrobili w mejlu. John Polend najwyraźniej do nich nie należał.

– Co w takim razie zamierza pani zrobić z moją rodziną?

– Ściągnę ich na dzisiaj.

Zgodnie z poleceniem odnalazłam wszystkie osoby z listy



i wszystkie obiecały znaleźć wolny wieczór. Dwudziestego siódmego, nie siedemnastego. Ale nie dostawałam przecież obłądnie wysokiej gaży za to, żeby wszystko szło zgodnie z planem. Nigdy nie szło.

Polend zmarszczył brwi i rzucił okiem na swoją jedyną walizkę stojącą smętnie przy drzwiach.

– Reszta bagaży została na dole, niech ktoś się nimi zajmie – mruknął ponuro i ruszył w głąb mieszkania. – Nie wiem, dlaczego nie ma windy.

– Je też ściagnę – obiecałam i poszłam za nim. Gdyby dał mi z miesiąc więcej, na pewno znalazłabym architekta, załatwiła pozwolenia i materiały na dobudowanie windy zewnętrznej.

– Gdzie jest ten gabinet? – utyskiwał, zde gustowany.

– Tutaj. – Wskazałam drzwi, które jeden z członków ekipy remontowej w popłochu omiatał z kurzu. Jego koledzy już się zmyli z tej części mieszkania, najwyraźniej kierowani zdrowym instynktem samozachowawczym.

Jan Koniecpolski, który uparcie nazywał sam siebie Johnem Polendem, kazał przeznaczyć na gabinet największe pomieszczenie, gdzie większość ludzi urządziłaby salon. Nie zamierzałam z nim polemizować. Tę większość ludzi musiałoby być najpierw stać na kupienie mieszkania w alei Róż za trzy miliony złotych.

Otworzył drzwi i skrzywił się lekko. U innych osób byłaby to daleko posunięta dezaprobata, ale w jego przypadku miał to być, jak mi się zdawało, wyraz uznania.

– Nie jest tragicznie – mruknął i podszedł do wielkiego biurka. Mebel należał kiedyś do Józefa Piłsudskiego, a teraz musiał konkurować z chińskimi wazami z epoki Ming, lampami (prawdziwym tiffanym!), szezlongiem obitym ma-

terialem w dzikie róże oraz niezidentyfikowaną rzymską rzeźbą bez głowy stojącą przy oknie.

Z westchnieniem ulgi zasiadł w obrotowym skórzanym fotelu i przesunął palcami po zielonym aksamicie powleającym powierzchnię biurka.

– Piłsudski tego dotykał – rozmarzył się.

Nie wyprowadzałam go z błędu. Biurko było autentyczne, ale aksamit nowy, sama podpisywałam rachunki. Szansa, by Piłsudski go dotykał, była znikoma. Zresztą tkaninę ledwo dało się zauważyć pod przedmiotami, które zawałały blat. Laptop z najszybszym procesorem dostępnym na rynku, błyskawiczna drukarka laserowa i ryza najdroższego papieru (musiałam się nieźle naszukać, żeby znaleźć jakiś naprawdę drogi) stanowiły wierzchołek góry lodowej. Oprócz tego były tam: szklana kula z bałwankiem, specjalny stojak z kolekcją wiecznych piór, srebrny wizytownik, nóż do papieru i zestaw kopert we wszystkich rozmiarach z welinowego papieru. Oraz klatka z ptakiem.

– To jest gwarek, o którego pan prosił – zaprezentowałam ptaka. Słowo „prosił” nie było tym, które nasuwało się jako pierwsze, ale postanowiłam trzymać się konwencji. – Ma na imię Maciuś.

– Dlaczego tak głupio? – Polend był wyraźnie zdegustowany.

– Tak mu nadali na chrzcie – zaryzykowałam, ale Polend nie zareagował. Być może pięćdziesiąt lat w Australii zatało nieco jego znajomość niuansów mowy ojczystej. – Jest bardzo zdolny. To jeden z pięciu tak wyszkolonych gwarków w Polsce. Wyuczenie go kolejnych słów powinno zająć panu kilka minut.

Przejdźcie do porządku nad sumą, którą zapłaciłam za

Maciusia, dopisaną do ogólnego rachunku, może natomiast potrwać dłużej. Gdyby Maciuś był z platyny i wysadzany brylantami oraz siedział w klatce ze szczerego złota, kosztowałby znacznie mniej.

Po raz pierwszy zobaczyłam na twarzy Polenda wyraz, który od biedy można by uznać za radość. Trwał ułamek sekundy. Gdybym mrugnęła, przegapiłabym go.

Polend pochylił się nad klatką.

– Dzień dobry! – powiedział, najwyraźniej na próbę. – Dzień dobry!

– Dzień dobry! – zaskrzeczał Maciuś. – Dzień dobry!

Jak już wspomniałam, nic nie dziwi Home Disaster Manager. Ale Maciusiowi udało się mnie zadziwić. Doskonale naśladował głos Polenda i jego polsko-australijski akcent.

– Stara rura – powiedział Polend.

– Stara rura! Stara rura! – powtórzył Maciuś.

– Stara wariatka – spróbował jeszcze raz Polend.

Maciuś powtórzył i to. Najwyraźniej nie było dla niego barier. Także moralnych.

Polend naprawdę wyglądał na zachwyconego. Przez ułamek sekundy. Potem mu przeszło.

– A gdzie szpila? – ocknął się.

Wskazałam na ozdobne podłużne pudełko. Mógł je przeoczyć w powodzi przedmiotów na biurku.

Polend zdjął pokrywkę, wyjął z pudełka ozdobną szpilę ze szkła z Murano i chwilę podziwiał pod światło.

– Ujdzie – stwierdził i schował. – To prezent dla Sabiny.

Szpila kosztowała mniej niż karma dla gwarka. Ale Sabina była dawną miłością Polenda i może nie zasługiwała na nic lepszego.

– Moja ukochana... – rozmarzył się Polend. – Pani Łu-

cjo...

– Lucjo.

– ...widziała ją pani niedawno. Niech mi pani opowie o niej parę słów. Bardzo się posunęła w latach?

– Nie powiedziałałabym – odparłam z rezerwą. – Elegancka starsza pani na emeryturze.

– Pewnie marna ta emerytura.

– Niestety dał mi pan za mało czasu, żebym zawarła przyjaźnie w urzędzie skarbowym i dowiedziała się szczegółów. Ale pani Sabina nie wygląda na biedną. Ma samochód i domek.

– Jaki samochód? – zainteresował się Polend.

– Huyndaia i30 – wyjaśniłam.

– Eeee... – skwitował. – To nie jest samochód dla ludzi. A ten domek duży?

– Na oko ze sto metrów.

– Bardzo mały – ucieszył się. – Nie mogę się doczekać, kiedy znowu ją zobaczę, po tylu latach. To już dziś wieczorem.

Poprawił się w fotelu.

– Kto jeszcze będzie? Moja ukochana siostrzenica Marzena. Córka mojej siostry Marii, świeć Panie nad jej duszą.

– Edyta – poprawiłam. – Córka Marianny.

– Zawsze uważałem, że ma w sobie coś z Marzeny. Wspaniała osoba. Słyszałem, że nie najlepiej jej się wiedzie.

– Nie powiedziałałabym. – Chrząknęłam. – Dwójka dzieci w prywatnych szkołach.

– Och, dziś każdy posyła dzieci do prywatnej szkoły. – Wzruszył ramionami. – Moja sprzątaczką w Melbourne też. A te dzieci Marzenki to mądre?

– Edytki.

– Mają jakieś stypendia?

Tego nie wiedziałam.

– Ale w kraju ta prywatna szkoła, nie za granicą?

– W kraju – przyznałam.

Polend zatarł ręce.

– A ten jej mąż? Mateusz.

– Mariusz – poprawiłam. – Producent telewizyjny. Ale od kilku lat bez sukcesów zawodowych.

– Rzutki człowiek, energiczny i zdecydowany. – Polend pokiwał głową.

Taktownie nie skomentowałam. Nasze spojrzenia na rzeczywistość najwyraźniej bardzo się różniły.

– No i ten mój siostrzeniec. Zabawki mu wysyłałam, kiedy był malutki, chociaż to straszny koszt taką zabawkę przysłać z Australii. Pisałam mu: „Tomeczku, takiego sterowanego samochodziku, jaki ci wujcio przysłał, to nikt mieć nie będzie” – westchnął Polend.

– Pana siostrzeniec ma na imię Sergiusz – sprostowałam.

– Bez sensu moje siostry ponazywały te swoje dzieci. – Wzruszył ramionami. – Ja na swoją sprzątaczkę w Melbourne wołam Jane. Na wszystkie. Wciąż się zmieniają, kto by to spamiętał.

– À propos sióstr. Prosił pan, żeby pojawiła się też pana siostra – przypomniałam, chociaż słowo „prosił” znowu nie wydało mi się na miejscu. – Ta żyjąca.

– Ach, ona. – Polend był zde gustowany. – Stara rura.

– Stara rura! Stara rura! – zgodził się Maciuś. Najwyraźniej wart był swojej ceny.

– Uwierzy pani, pani Łucjo...

– Lucjo.

– ...że ona teraz nazywa się Skarga? Po mężu. I na wszystko się skarży.

– Stara rura! – potwierdził Maciuś, niepytany.

– No dobrze, dzisiaj o osiemnastej. Proszę dopilnować, żeby wszyscy byli punktualnie. Nie znoszę spóźnialskich. Kiedy przychodzi moja sprzątaczką w Melbourne, czekam przy drzwiach z sekundnikiem.

– O osiemnastej. – Chce co do sekundy, dostanie co do sekundy.

– Przedstawię im testament... – Polend się zamyślił.

– Testament! Testament! – powtórzył Maciuś.

– A przewiduje pan poczęstunek? – spytałam.

– A tak, tak, oczywiście. Rodzinę trzeba przecież godnie podjąć. Zwłaszcza jeśli się nie widzieliśmy tyle lat, a z niektórymi to wcale, na przykład z moim stryjecznym wnuczką Metju. Poczęstunek, koniecznie. – Zastanowił się przez moment, po czym zadysponował: – Proszę zamówić jakąś pizzę, ale bez szaleństw. W końcu nie przychodzą się najeść. Powiedzmy: trzy pizze, widziałem reklamę, ta trzecia będzie za darmo. I koniecznie hawajskie z ananasem, bo one są w promocji. I może jeszcze kilka butelek coli.

– Też trzy? – zapytałam.

– Niech będzie pięć. Rodzinę trzeba przecież godnie ugościć. Aha, i jeszcze po dwie czekolady dla dzieci Marzeny, tej, która ma jakoś inaczej na imię. Porządne, z orzechami.

Skinęłam głową.

– Nie zapisała pani. – Zmarszczył brwi.

– Trzy pizze hawajskie, pięć butelek coli i cztery czekolady. Zapamiętam.

– I niech pani da to robotnikom, żeby się pospieszyli. – Podsunął mi kopertę.

Zanim wyszłam z mieszkania, zamieniłam kilka słów z szefem ekipy. Najpierw narzekał na swój los, ale kiedy zajrzał do koperty, zbladł i przysiągł na prochy matki, że wszystko będzie zrobione przed szesnastą. Sądząc po grubości koperty, mógłby kupić najbliższą pizzerię.

Zeszłam na parter i wsiadłam do swojego forda mustanga. Miałam sporo osób do przywiezienia.

## Rozdział 2

Sergiusz Skarga był trupem. Rana postrzałowa nad okiem ukazywała mózg, strużki krwi spływały po policzku. Leżał na ziemi, bezładnie rozrzucone ręce starały się dosięgnąć karabinu, ale na próżno. Mężczyzna obok zginął chwilę później. Jego głowa spoczywała na brzuchu Skargi, a w plecach ziała olbrzymia rana.

– Cięcie, kwadrans przerwy! – krzyknął facet w kamizelce i zwłoki Sergiusza się poruszyły. Jęknęły i podrapały się po policzku.

– Myślałem, że zejde – westchnął trup. Zepchnął z siebie drugiego trupa, który spojrzał na niego z wyrzutem.

– Ostrożnie, kark mi zdrętwiał – syknął drugi trup i powoli pozbierał się z ziemi.

– A mnie boli brzuch od twojej głowy – odcięły się pierwsze zwłoki.

– Proszę uważać na rany – przypomniała kobieta w swetrze, oglądając zwłoki z zaaferowaną miną. – Mariola, ta będzie do poprawki! – wrzasnęła, macając trupa Sergiusza po głowie. – A mówiłam, żeby nie drapać. No nie może tak być, żeby trup rozmazywał sobie krew po twarzy – fukała dalej. – Pan wie, co by było, gdyby każde zwłoki tak się drapały? I żeby to jeszcze pojedynczy trup, powiedzmy. A tu mamy scenę zbiorową, piętnaście zwłok, a ja sama z Mariolą jestem.

– Ale pani Sylwio, to łaskocze, jak ta krew ścieka – poskarżyły się zwłoki Sergiusza.

– Innych jakoś nie łaskocze. Mariola! Gdzie jest ta dziewczyna? Rana do poprawki!



– A do jedzenia coś będzie? Umieram z głodu – zakwiliły cicho zwłoki.

– I wszyscy tylko głodni – narzekała pani Sylwia. – Leżą na ziemi, nie męczą się, ciepło, wygodnie. W zeszłym roku kręciliśmy powstanie styczniowe w styczniu, bo nie było funduszy na sztuczny śnieg, i wszystkie zwłoki musiały leżeć w zaspach. I nikt się nie skarżył, że zimno albo że głodny. Luksusów się zachciewa, a to praca w kulturze.

– To chociaż może da się w następnym ujęciu, żeby Wiesław nie leżał na mnie, bo mnie ciśnie tym hełmem. Tylko żebym ja na Wiesławie – zaproponowały zwłoki.

– A ciągłość sceny to co? Dobrze sobie. Widz zobaczy zwłoki Wiesława leżące na pana zwłokach, a minutę potem pana na Wiesławie. Co sobie widz pomyśli? Że to jakieś amatorskie zwłoki, a nie profesjonalne... Nie ma mowy! Mariolaaaa!

Pani Sylwia ruszyła w poszukiwaniu Marioli, a ja podeszłam do zwłok, które siedziały bez ruchu ze smutnym wyrazem twarzy. Co u zwłok jest dość częste.

– Pani też z pretensjami? – przestraszył się trup. – Już się nie drapię, przysięgam.

– Lucja Słotka – przedstawiłam się. – Dzwoniłam do pana w sprawie spotkania z pańskim ciotecznym dziadkiem, Johnem Polendem. To znaczy z panem Koniecpolskim – dodałam, na wypadek gdyby trudy aktorstwa funeralnego przytępiły mu umysł.

– A tak, tak. – Zwłoki Sergiusza skinęły głową. – Dwudziestego siódmego, dobrze pamiętam? Nie ma pani czegoś do jedzenia?

– Niestety.

– Nawet pani nie wie, jak człowiek głodnieje od tego leże-

nia – westchnął Sergiusz. – A catering przyjeżdża dopiero pod wieczór. Idzie!

– Kto? – Obejrzałam się.

– Główna bohaterka. Polska tajna agentka, która wodzi Niemców za nos i rozprawia się z nimi za pomocą swego fantastycznego intelektu oraz doskonałej znajomości kung-fu, którego nauczył ją dziadek. Niestety zginął w tajemniczych okolicznościach – szepnął Sergiusz.

– Panie Sergiuszu, przyniosłam panu kanapkę – usłyszałam za plecami. – Tylko proszę nic nie mówić pani Sylwii, bo mnie zabije.

– Ja już jestem zabity – zachichotał Sergiusz i złapał pakunek w folii aluminiowej. Połknął kanapkę trzema kęsami. Dobrze, że przedtem nie zapomniał jej rozpakować.

Nagle za jego plecami wyrosła kobieta w kamizelce.

– A ładnie to tak, pani Agnieszko, dokarmiać zwłoki?

– Skarżył się, że jest głodny – usprawiedliwiła się aktorka.

– To nie restauracja – fuknęła pani Sylwia. – Pani też się rozmazała. A mówiłam, żeby się nie dotykać. Do charakteryzatorni, ale już!

– Co ja bym bez niej zrobił – zadumał się Sergiusz. – Chyba umarł z głodu. Pani Agnieszka Dworska przynosi mi te kanapki, bo czuje się chyba trochę winna. To ona mnie zabiła. Umierając, spadłem z tej półki – machnął dłonią na deski na wysokości mojego ramienia – i w trzecim dublu skrzyłem kostkę. Jeszcze mnie boli.

– Bardzo interesujące. Co pan tutaj robi?

– Jak to co? Jestem zwłokami – wyjaśnił Sergiusz. – Odpowiedziałem na ogłoszenie: „Poszukiwani mężczyźni do roli zwłok męskich. Stawka osiemdziesiąt złotych za dzień.

Netto”. Już wiele razy to robiłem. Bardzo przyzwoita fucha. Nawet myślę, czy się całkiem nie przekwalifikować i nie zostać statystą funeralnym na pełen etat. Nie ma pani pojęcia, jakie jest zapotrzebowanie na profesjonalistów.

– Ale ma pan przecież firmę budowlaną, a nie kostnicę.

– Rosnące ceny materiałów, zaburzony ciąg dostaw, upierdliwi klienci – zaczął wyliczać na palcach. – A tu praca lekka, Agnieszka Dworska przynosi kanapki. Sądzi pani, że gdybym poprosił o herbatę, też by mi przyniosła?

– Niewykluczone, ale musimy iść – ucięłam jego dywagacje. – Czeka na nas pana wuj.

– Ja muszę tu leżeć do osiemnastej – zaprotestował Sergiusz.

– Ma przedstawić swój testament... – rzuciłam w przestrzeń.

– Tak. Musimy lecieć. – Zwłoki Sergiusza nagle ożyły i zaczęły rozpinąć mundur.

– A zwłoki gdzie wędrują? Kładziemy się i leżymy! Zaraz znowu zaczynamy kręcić – huknęła mi nad uchem pani Sylwia.

– Sprawa rodzinna – wyjaśnił Sergiusz, składając mundur.

– Zwłoki nie mają spraw rodzinnych. A pan mi tu ciągłość zaburza! – zirytowała się Sylwia. – Kłaść się, natychmiast!

– Ani mi się śni! – wrzasnął Sergiusz. – Należałem się już. Poza tym reżyser mi obiecał, że zanim umrę, powiem: „Po moim trupie”, a potem wykreślił to ze scenariusza. A za rolę mówioną miałem dostać pięćset złotych.

– Kładzie się pan i załatwię dodatkową stówę – zapowiedziała Sylwia.

– Odchodzę! – obwieścił Sergiusz i cisnął mundur na ziemię.

– Mariola! Jedne zwłoki znikają ze stanu. Mariolaaa!

## Rozdział 3

Znacie te filmowe cięcia. W jednym momencie James Bond siedzi w gabinecie M, a w kolejnym już biegnie po Murze Chińskim ostrzeliwany przez trzy helikoptery. A nam pozostaje tylko domyślać się, jak tam dotarł. Ja jednak nie lubię zostawiać niedopowiedzeń. Z Sergiuszem w samochodzie dojechałam pod segment Urszuli Skargi na Bemowie.

– Zawiozę państwa na miejsce i wrócę po resztę rodziny – przedstawiłam plan.

Sergiusz skrzywił się.

– Zostanę z nią sam na sam? – zapytał płaczliwym głosem.

– To w końcu pana matka, więc to chyba nie pierwszy raz?

– Tak, i przerabiałem to potem na terapii. Terapeuta uważa, że muszę jej mówić „nie”. Jak to się nazywa? Astro... ostro... asertywność. Trzy lata mi to zajęło.

– Znakomicie – ucieszyłam się. – Skoro się udało, to idziemy.

Sergiusz poczłapał za mną do narożnego segmentu. Sąsiednie miały na mikroskopijnych trawnikach huśtawki, grille lub dmuchane baseny. Na trawniczku Urszuli Skargi wygrzewał się tylko kot.

Zadzwoiłam do drzwi. Otwarły się niemal natychmiast, jakby przyczajona za nimi lokatorka czekała na nasze przyjście.

– Cicho! – syknęła Urszula Skarga. – Przejść do kuchni, nic nie mówić, nie rozpraszać!

Popchnęła nas do korytarza, rzucając jeszcze:

– Można herbaty zrobić, ale czajnika nie włączać.

– Jak zrobić herbatę bez gorącej wody? – szepnął Sergiusz, ale nie doczekał się odpowiedzi.

– Musisz zadbać o swoje własne „ja” – mówiła tymczasem Urszula Skarga w salonie, ale najwyraźniej nie do nas. – Własne „ja” jest dążeniem do unifikacji transcendentnej duszy z fizycznym ciałem.

– Mama zawsze mówiła, że udziela korepetycji – szepnął Sergiusz.

– W dążeniu do szczęścia imperatywem jest zawsze „ja”. Nie możesz powiedzieć „nie” własnemu „ja”. Zawsze mów mu „tak”. Bądź pozytywna, chwytaj życie i mów mu „witaj”.

Zaczęłam się zastanawiać, jak wejść Urszuli w słowo, ale po minucie zjawiała się w kuchni.

– Skaranie boskie z tymi kursantkami – westchnęła. – Wciąż się skarżą i narzekają, że życie im nie wychodzi. Dobrze, że chociaż przyzwoicie płacą.

– Byłem pewny, że dajesz korepetycje – zdumiał się Sergiusz.

– Za czterdzieści złotych za godzinę? Nigdy nie myślałeś praktycznie, synku. Co można kupić za czterdzieści złotych, kiedy wszystko tak drożeje? – poskarżyła się Skarga.

Urszula Skarga musiała być sporo młodsza od brata, tak co najmniej z piętnaście lat. I dbała o siebie. Jej włosy najdalej wczoraj były u fryzjera, paznokcie u manikiurzystki, a garsonka w pralni chemicznej. Tylko wygięte w podkówkę usta świadczyły o charakterze ich właścicielki.

– A ty się garbisz – fuknęła na syna. – Stań prosto.

– Tak, mamó. – Sergiusz natychmiast się wyprostował.

– I coś ty na siebie włożył? Mówiłam, że w brązowym ci nie do twarzy. – Zmierzyła jego kurtkę krytycznym spojrze-

niem. – Zdejmij to zaraz, mam tu zieloną bluzę, będzie leżała jak trzeba.

Urszula Skarga zdarła kurtkę z syna i zręcznym ruchem podrzuciła mu bluzę.

– Jest za mała... – zaczął Sergiusz.

– Schudniesz i będzie idealna. A dobrze by było, gdybyś zrzucił kilka kilo. Stosujesz tę dietę, którą ci poleciłam, i myślisz pozytywnie?

– Tak, mam. – Zwiesił smętnie głowę.

– Miło było, ale muszę wracać na kurs. – Pokazała nam drzwi.

– Pani brat chce, żebyśmy się dzisiaj spotkali. Przyjechał wcześniej. Długa historia – wyjaśniłam, niczego nie wyjaśniając.

– Wykluczone! – Parsknęła. – Mam zajęcia. Kursantki rozsypią się beze mnie. Muszę im umożliwić spotkanie z ich wewnętrzną wilczycą.

Pobiegła do salonu i znowu zaczęła mówić do kamery modulowanym głosem.

– Czujesz w sobie tę kobiecą siłę, która mówi, że nie możesz się zatrzymać. Pokonasz każdą przeszkodę.

Cicho podeszłam i starając się nie wejść w kadr, szepnęłam:

– Pan Jan nalega.

– Wykluczone! Mam jeszcze dwie godziny kursu *Spotkaj swoją wewnętrzną wilczycę* – syknęła i znowu z uśmiechem zwróciła się do kamery. – Wilczyca, która jest w twoim wnętrzu, mówi: „Walcz”.

– Pan Jan zapowiedział, że ogłosi testament – odsyknęłam.

– Twoja wewnętrzna wilczyca mówi: „Rób to, do czego je-

steś stworzona, a szczęście i pieniądze przyjdą same” – powiedziała Urszula Skarga. – To wszystko na dziś.

I wyłączyła kamerę.

– Możemy jechać – oznajmiła.

– A kursantki?

– Ich wewnętrzne wilczyce rozumieją. – Machnęła ręką.

Stała przed moim mustangiem i zlustrowała go krytycznym spojrzeniem.

– Pewnie dużo pali. – Raczej stwierdziła, niż zapytała. – Na co czekasz, pakuj się do tyłu – popędziła syna.

– Ale się jej postawiłem – szepnął Sergiusz Skarga, kiedy przeciskał się koło mnie na tylne siedzenie.

– Kiedy? – zapytałam cicho, bo ten moment najwyraźniej mi umknął.

– Powiedziałem, co sędzę o wielkości bluzy. – Wyprężył pierś.

– Do świąt mam na ciebie czekać? – pogoniła go matka.

– Poza tym wcale nie ćwiczę, a mówię jej, że ćwiczę – szepnął mi do ucha i na dodatek mrugnął. – I nic mi nie może zrobić.



## Rozdział 4

Macie w domu białe rękawiczki? Takie, jakich używała Perfekcyjna Pani Domu, żeby udowodnić, że gospodynie domowe mają brudne szafki? W kuchni Sienkiewiczów rękawiczki pozostałyby nieskazitelnie białe.

W ich kuchni należałoby właściwie nosić okulary przeciwsłoneczne, żeby światło odbite od wyczyszczonych powierzchni nie przepaliło siatkówki. Wszystko tu lśniło. Nieskazitelnie biała podłoga, meble kuchenne i kuchenka, lśniąca o wiele bardziej niż te schodzące z linii produkcyjnej w fabryce, a do tego wyglądająca na całkowicie nieużywaną. Na kanapach w kolorze écru, które co prawda nie lśniły, ale były sterylnie czyste, nie dostrzegłam ani jednego załamania czy fałdki. Co było faktem na pograniczu cudu, bo na kanapie leżał jamnik, który też lśnił i nie gubił ani jednego włoska.

Obok lśniącego jamnika siedzieli dwaj chłopcy w wieku najwyżej dziesięciu lat i nie poruszali się, co również graniczyło z cudem. Obaj mieli na sobie mundurki prywatnej szkoły i nienagannie zawiązane krawaty, które emanowały poświatą.

– Przepraszam za bałagan, tak trudno wszystko ogarnąć samej – westchnęła kobieta przede mną i przesunęła wazon z tulipanami mniej więcej trzy centymetry w lewo tak, by zajął centralne miejsce na stole. Najwyraźniej to właśnie uznała za nieporządek.

Wyjaśniłam w kilku słowach zmianę planów. Edyta Sienkiewicz stała nieporuszona w swojej lśniącej białej garsonce i nie drgnął jej nawet włoszek w kunsztownie ułożonej

fryzurze.

– Cóż, to niestety niemożliwe, muszę z żalem odmówić – stwierdziła głosem, w którym nie dało się wyczuć żalu. – Mam zaplanowaną wizytę z chłopcami na zajęciach z inteligencji molekularnej. Jak pani sobie na pewno zdaje sprawę, inteligencję molekularną należy rozwijać od ósmego roku życia i nie są wskazane przestoje. Chłopcy, udajcie się do swoich pokojów i przebierzcie.

Chłopcy symultanicznie wstali i ruszyli po schodach na górę. Stawiali identyczne kroki.

– Inteligencja molekularna czyni cuda. – Edyta Sienkiewicz uśmiechnęła się, a mnie nie drgnęła nawet powieka. W końcu otrzymuję horrendalną gażę też za słuchanie takich rzeczy.

Za plecami usłyszałam otwieranie drzwi. Po twarzy Edyty Sienkiewicz przebiegł cień.

– Mariuszu, bądź tak uprzejmy i powieś porządnie kurtkę – powiedziała starannie modulowanym głosem.

Mężczyzna koło czterdziestki, ale już łysiejący, skrzywił się i zerknął na kurtkę, którą właśnie odwiesił na wieszak.

– Jest w porządku – uznał.

– Gdybyś spojrział uważniej, zobaczyłbyś, że odstaje – wyjaśniła Edyta, uśmiechając się jeszcze szerzej, choć chwilę wcześniej nie wydawało się to możliwe.

– Nie odstaje – upierał się mężczyzna.

– Ależ odstaje – zapewniła go żona.

Mężczyzna westchnął i klepnął kurtkę.

– Teraz dobrze?

Edyta pokręciła głową z dezaprobatą i podeszła do wieszaka. Obciągnęła rękawy, ściągnęła dół, wyprostowała plecy i przycisnęła kurtkę do ściany.

– Zobacz, to nic nie kosztuje, a o ileż przyzwoiciej wygląda – wyjaśniła. – Nie chcemy, żeby ludzie pomyśleli, że mieszkamy w chlewie.

Najwyraźniej miała na myśli mnie.

– Lucja Słotka – przedstawiłam się Mariuszowi Sienkiewiczowi. – Dzwoniłam w sprawie wuja pana żony, Johna Polenda. To znaczy Jana Koniecpolskiego. Przyjechał wcześniej i chce was zobaczyć dziś.

– Wyjaśniłam, że to niemożliwe – oznajmiła Edyta Sienkiewicz z godnością. – Zwłaszcza że i tak się rozstajemy.

Odwróciła się do męża.

– Po rozwodzie będziesz mógł wieszać kurtkę w dowolny sposób. Chyba że planujesz mieć kontakt z dziećmi. Nie chcę, żeby widziały niepożądane zachowania.

– To tylko pieprzona kurtka!

– O takich właśnie niepożądanych zachowaniach mówię. – Edyta westchnęła.

– Nigdzie nie jadę, idę do swojego pokoju – warknął jej mąż. – Nie mogę się doczekać tego rozwodu.

Edyta rozłożyła ręce.

– Może w przyszłym miesiącu znajdziemy chwilę.

– Pan Polend nalegał na spotkanie dzisiaj.

– Te zajęcia z inteligencji molekularnej prowadzi znana coachka po kursach w Instytucie Światowej Inteligencji Molekularnej w Sacramento. To w Kalifornii. Trzeba się zapisywać pół roku wcześniej, a wszelka zmiana terminu...

– Chodzi o testament – przerwałam.

– ...wcale nie jest trudna – dokończyła Edyta Sienkiewicz.

– No to ja też jadę – zdecydował jej mąż.

– Przecież się rozwodzimy. – Żona spojrzała na niego wy-

niośle.

– To tylko opcja, nic nie jest przesądzone. – Mariusz Sienkiewicz sięgnął po kurtkę.

– Bardzo cię proszę, żebyś wsadził sobie porządnie koszulę w spodnie. – Edyta westchnęła. – Żebym nie musiała się pokazywać z takim niechlujem.

## Rozdział 5

Sabina Moniuszko była niska, szczupła, miała nieskazitelnie ułożone i ufarbowane włosy. Była ubrana w cytrynowy żakiet, odważnie, ale umiejętnie zestawiony z oliwkową apaszką, do tego założyła ciemnoszare spodnie. Podobnie jak Polend nie wyglądała na swoje lata. Sprawiała wrażenie kogoś, kim chcemy się stać, kiedy wreszcie przejdziemy na emeryturę. Nie muszę chyba wspominać, ile wynosi mój fundusz emerytalny.

Sabina nie ułatwiała mi sprawy.

– Nie ma mowy, złotko – obwieściła. – Łobuz zostawił mnie w siedemdziesiątym drugim, a teraz nagle chce się spotkać w dwa tysiące dwudziestym drugim? Powiedz mu, że zobaczymy się w czterdziestym trzecim. Dwa tysiące czterdziestym trzecim. Mam nadzieję, że tego nie dożyje.

Sama też mogła tego nie dożyć, ale powstrzymałam się od komentarza.

– Masz bardzo interesującą bluzkę, kochanie – dodała. – I ta kombinacja ze spodniami. Idealna dla twojego typu sylwetki.

Ta bluzka nie kosztowała tyle, ile by mogła przy moich gażach, ale i tak zrobiło mi się miło.

– Tak myślałam. – Pokiwałam głową. – Mam na myśli to, że nie chce się pani zobaczyć z panem Konięcpolskim, a nie połączenie bluzki ze spodniami. Chociaż też. Mnie zachwyca ten cytrynowy kolor u pani.

– Och! – Sabina machnęła ręką. – Zajmuję się, nieoficjalnie oczywiście, doradzaniem paniom, jak się ubrać. Teraz to się chyba nazywa stylistka, ale mówię pani, kobiety zawsze

tego potrzebowały i będą potrzebować. I nie uwierzy pani, zgłasza się coraz więcej panów.

Uwierzyłam.

– No, w każdym razie skrzywienie zawodowe. Zawsze dostrzegam niedopatrzenie w stroju, źle zestawione kolory albo niewłaściwy fason do sylwetki. Ale u pani – obejrzała mnie jeszcze raz od góry do dołu – wszystko gra.

– Bardzo dziękuję – powiedziałam. – Do widzenia.

Spojrzała na mnie zdumiona.

– I to wszystko?

– Przecież nie chce go pani widzieć. Mam teraz na myśli pana Koniecpolskiego. To znaczy pana Polenda.

– No tak – przyznała. – Ale spodziewałam się, że będzie stawał na głowie. Przekupywał mnie, straszył, używał swoich sztuczek.

– Niestety. – Westchnęłam. – Nie mam funduszy na sztuczki. A co do przekupstwa, to mam pieniądze na trzy pizze z ananasem.

– Dlaczego trzy?

– Kiedy kupuje się dwie, trzecia jest za darmo – wyjaśniłam.

– Zawsze taki był. – Westchnęła. – Pełen sprzeczności.

Zadumała się. Nie przerywałam jej. Przerywanie rozmówcy w chwilach zadumy nie należy do zadań Home Disaster Manager.

– Czy myśli pani, że chce zrobić na mnie wrażenie?

Przypomniałam sobie tanią szpilę z Murano na biurku Polenda. Ale rozwiewanie złudzeń też nie mieści się w obowiązkach Home Disaster Manager.

– Z pewnością – przytaknęłam.

– Zachowa się w bezwzględnie okropny sposób?

Tu już nie musiałam kłamać.

– To bardzo prawdopodobne.

– A jak jest ubrany?

– Cóż. – Poszukałam odpowiedniego słowa i je znalazłam. – W stylu australijskim.

– Ha! W takim razie jadę. Proszę tylko poczekać, założę kapelusz i rękawiczki. Prawdziwa dama nigdy nie opuszcza domu bez kapelusza i rękawiczek.

– Moja babcia też tak mówiła.

– No właśnie – ucieszyła się Sabina Moniuszko. – Na pewno daleko ją to w życiu zaprowadziło.

Gwoli ścisłości, zaprowadziło ją na cmentarz. Ale czułam, że informowanie o tym Sabiny Moniuszko również nie należy do obowiązków Home Disaster Manager.

## Rozdział 6

Znacie to uczucie, kiedy wchodzicie do poczekalni u denty-  
sty i zamiast lekarza widzicie tłum pacjentów z zapaleniem  
okostnej? I już wiecie, że nie wyjdziecie stamtąd przed pół-  
nocą.

W mieszkaniu przy alei Róż wpadliśmy w kocioł trwa-  
jącej od dłuższej chwili dyskusji podobnej do tych toczonych  
pod gabinetami na temat tego, kto jest za kim.

Młody chłopak koło dwudziestki, obcięty pod donicę, tłu-  
maczył coś Urszuli Skardze, a ta wpatrywała się w niego  
z uwielbieniem.

– Musisz wyjść w plener. Filmowanie statyczne jest do-  
bre dla zgredów.

– Moje klientki można zaliczyć do czterdzieści plus – po-  
skarżyła się Skarga.

– Musisz jednak uaktywnić kontent. Bez aktywnego kon-  
tentu leżysz. Współczynnik UA poleci zaraz poniżej jednego  
i co wtedy zrobisz?

– Ale kampanie mailingowe...

– Wciąż docierasz z tym samym kontentem do tych sa-  
mych odbiorców – podkreślił chłopak.

Chrząknęłam znacząco.

– Mati-Mat, hejka. To znaczy jestem Mateusz Matejko –  
uśmiechnął się chłopak. – Wnuczek. Stryjeczny. A pani to  
pewnie ta menedżerka wydarzenia.

– Tłumaczyłam właśnie Mateuszowi, że nie da się stoso-  
wać do mojej grupy docelowej jego trików – wyjaśniła Ur-  
szula. – Mateusz jest wnuczkiem Floriana, naszego nie-  
odżałowanego brata, niech mu ziemia lekką będzie.



– Tak, kopę lat. – Mateusz uśmiechnął się szeroko. – Mówcie mi Mati. Tak zresztą nazywa się mój kanał na YouTube. Mati-Mat.

– Powinieneś sobie, młody człowieku, włożyć koszulkę w spodnie. Górna część męskiej garderoby niewpuszczona w spodnie wygląda bardzo niechlujnie – zauważyła Sabina Moniuszko, nieproszona.

Nie miałam na liście żadnego brata, syna brata ani wnuczka brata. Urszula chyba wyczuła moje wahanie i zaczęła wyjaśniać:

– Florian też wyjechał, jak Janek, tylko do Niemiec. Straciliśmy kontakt.

– Tak było, w punkt. – Mati pokiwał głową. – I w Niemczech spiknął się w cyrku z treserką tygrysów, Węgierką. Normalnie tak go wzięło, że ruszył z cyrkiem w trasę. Nauczył się połykania ognia i skoków na trapezie. A dokładnie to połykał ten ogień na tym trapezie. Ale by miał dzisiaj zasięgi!

– I ty jesteś wnuczkiem tej treserki? – zapytałam.

– Nie, treserka uciekła z klaunem Jobim. – Mati westchnął. – Dziadkowi prawie odbiło z żalu, ale potem się spiknął z wróżką Eulalią. Ona była z Rumunii, ale sprawdziłam na mapie, to niedaleko Węgier. I dalej pojechali z tym cyrkiem.

– I ty jesteś wnuczkiem tej wróżki? – próbowałam dobrać do sedna.

– Nie no, nie tak szybko. Bo wróżka Eulalia to wywróżyła z kart, że dziadek spiknie się z taką woltyżerką blondyną. I normalnie aż jej piana poszła. I rzuciła dziadka w piz... No normalnie go rzuciła.

– I ty jesteś wnuczkiem tej woltyżerki? – Usiadłam na

krześle, bo historia najwyraźniej nie miała końca.

– Nie, no skąd! Woltyżerka w ogóle nie czaiła bazy z dziadkiem, bo kręciła z treserem słoni. A dziadek miał już po kokardę branży cyrkowej i spiknął się z księgową, która prowadziła rachunki w cyrku.

– A co stało się księgowej? – zainteresowałam się.

– Nic. Poza tym, że zaciążyła i urodziła się moja mama – wyjaśnił Mati. – A jeśli biega o dziadka i księgową, to szybko się rozeszli. Mama wróciła do Polski, spiknęła się z tatą, no i jestem.

– Akurat dzisiaj, akurat tutaj? – zapytałam.

– Biedny Mati jest sierotą – przekazała mi Urszula scenicznym szeptem. – Jego rodzice zginęli tragicznie kilka lat temu, chłopak sam na siebie zarabia, taki dzielny.

– Z pewnością dlatego nikt mu nie powiedział, że powinien wkładać koszulkę w spodnie. – Sabina się zamyśliła.

– Zarabiasz na filmikach na YouTube, tak? – upewniłam się.

– To uczciwy kawałek chleba – zaperzyła się Urszula. – I to miło, że walczy o rodzinę.

Albo o schedę po dziadku.

– Tak, zostałem sam na świecie. – Mati westchnął i chlipnął cicho. – Nie mam pojęcia, czy ktoś wyciągnie do mnie pomocną dłoń.

– Ależ oczywiście, wyciągniemy – zapewniła go Urszula.

– Powiedz, jak zginęli twoi rodzice? – poprosiłam.

– Ależ pani jest nieczuła – oburzył się Sergiusz. – To bolesne wspomnienia.

– Pan natomiast znakomicie wybrał kolor tej kurtki – pochwaliła Sergiusza Sabina. – Brązowy podbija odcień pana oczu.

– Co też pani opowiada, wygląda w niej jak łachmyta – zachnęła się Urszula.

Sabina zmierzyła ją spojrzeniem.

– A pani zalecałabym mniej fioletu – zauważyła. – Ma pani tendencję do naczynek, przy fioletowym blisko twarzy bardziej je widać.

Nie spuszczałam wzroku z Matiego i nie pozwoliłam mu zmienić tematu.

– Moi rodzice? A tak. Wypadli z balonu, jak lecieli na imprezę, w rocznicę tego, jak się spiknęli – oznajmił grobowym głosem Mati.

– Oboje? – uściśliłam.

Pokiwał głową.

– Spadli na przelotówkę. I zwicznęli sobie nogi. Oboje. Obie.

– No to pół biedy – odetchnęłam. – Od tego się nie umiera.

– Ale nie mogli uciec i przejechał ich TIR. – Mati smutno pokiwał głową. – Oboje.

– Co za straszna historia – wzruszyła się Edyta Sienkiewicz. – Rodzinie trzeba pomagać. Może chcesz zamieszkać u nas? Oczywiście musiałbyś po sobie sprzątać. Dokładnie.

– Kiedy nosi się biały – pouczyła ją Sabina – trzeba mieć idealnie wybielone zęby, inaczej wydają się żółte. I krawat by pani mężowi porządniej zawiązała. – Podeszła do Mariusza i dwoma ruchami przeistoczyła jego smętnie zwisający krawat w arcydzieło szyku.

Już chciałam się wtrącić, ale gong przy drzwiach odegrał Odę do radości.

Otworzyłam. Za drzwiami stał starszy mężczyzna w wyświechtanej dżinsowej kurtce. Długie siwe włosy miał zwi-

ązane w kucyk.

– Uprzejmie przepraszam szanowną panią – powiedział. – Chciałbym się upewnić, czy nie pomyliłem lokalu.

Odsunęłam się o krok, bo ostatnio mył zęby chyba wtedy, kiedy prał kurtkę. Chociaż trzeba mu było uczciwie przyznać, że próbował zdezynfekować jamę ustną alkoholem.

– Do Johna Polenda? – upewniłam się.

– Johna Polenda? A to nie. Pomylił mi się z kimś. Uprzejmie przepraszam szanowną panią za najście.

Odwrócił się, żeby odejść, ale zapytałam:

– A może do Jana Koniecpolskiego?

– A to od razu trzeba było tak mówić – ucieszył się menel i spróbował przepchnąć się obok mnie do przedpokoju. Z kieszeni kurtki wystawała mu składana drewniana miarka.

Zastawiłam mu drogę.

– Kim pan jest? – zapytałam.

– To przecież Stefan Jagiełło! – wykrzyknęła nagle za moimi plecami Urszula. – Stefan, poznajesz mnie?

Mina menela wyraźnie mówiła, że nie.

– To najlepszy przyjaciel Janka. O Boże, Stefan! Nie widzieliśmy się ze czterdzieści lat. Nie, z pięćdziesiąt już będzie. Pewnie mnie nie pamiętasz, bo ty i Janek sporo starsi byliście.

– Ja nie chciałbym przeszkadzać szanownemu państwu, tylko...

– Stefan, nie wygłupiaj się. – Urszula ujęła go pod rękę i poprowadziła do salonu. – Po tylu latach... Mojego Sergiuszka to już nie widziałeś, on się dużo później urodził.

Stefan uścisnął rękę Sergiusza i wymruczał coś, co zabrzmiało jak: „Uszanowanie szanownemu panu”. Z przodu

brakowało mu jedyńki.

– Edytki też nie znasz – perorowała dalej Urszula. – Ona jest córką Marysi, świeć Panie nad jej duszą.

– Wieczne odpoczywanie – wymamrotał Stefan. – Ale ja tylko...

– A to Mateuszek, wnuczek Florka. Florka też już z nami nie ma.

Stefan pochylił głowę. Odczekał kilka sekund, żeby nie wyjść na takiego, co nie ma szacunku.

– A ten pan to kto? Też jakiś krewny? – Mariusz Sienkiewicz wyjrzał mi zza ramienia i zmierzył gościa niechętnym spojrzeniem.

– Przyjaciel z dzieciństwa – wyjaśniłam zwięźle.

– Na pewno nie krewny? – dopytywał się Sienkiewicz.

– Skąd, proszę szanownego pana, ja tylko... – spróbował znowu Stefan, ale Urszula nie dopuściła go do głosu.

– Co za przypadek, że wpadasz akurat tego dnia, kiedy Janek wrócił do Polski. I to po tylu latach...

Przypadki bywają różne. Ktoś przypadkiem wygrywa w lotto, ktoś inny przypadkiem zamiast do samolotu do Nowego Jorku wsiada w samolot do Władywostoku, a jeszcze ktoś kupuje szczeniaka doga argentyńskiego, który przypadkiem okazuje się owczarkiem mazowieckim. Wierzę w przypadki, ale bez przesady. I dlatego trudno mi było uwierzyć w ten.

Ale nie zdążyłam tego powiedzieć, bo otworzyły się drzwi do gabinetu.

– Pani Łucjo, czy wszyscy już są? – rozległ się głos Jana Koniecpolskiego, lub, jeśli ktoś woli, Johna Polenda.

– Lucjo... – zaczęłam, ale nie skończyłam.

– Jasiu! Daj się ucałować w czołko, jak wtedy, kiedy by-

łam jeszcze małą dziewczynką! – Urszula runęła w stronę gabinetu z otwartymi ramionami.

– Dziadku! – wykrzyknął Mati i też rzucił się w stronę Polenda.

– Cześć, wujku! – pomachała mu Edyta.

– Ja, znaczy, tego... – wyjąkał Stefan.

Dla każdego człowieka nadchodzi taka chwila, że po prostu nie może się obejść bez Home Disaster Manager. Dla Johna Polenda ta chwila nadeszła właśnie teraz.

## Rozdział 7

Zapewne nigdy w życiu nie zastanawialiście się, komu zapiszecie swoje miliony dolarów. A jeśli nawet, to pewnie podjęliście decyzję, żeby zostawić je dzieciom. John Polend miał inną koncepcję.

Weszłam do gabinetu akurat w chwili, kiedy kreślił coś zamasyżycie na kilkunastu kartkach papieru, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Stara rura! Stara rura! – powitał mnie gwarek, ale nie wzięłam tego do siebie.

– Wszyscy są? – upewnił się mój zleceniodawca.

– Wszyscy – potwierdziłam. – Nawet w nadmiarze.

– W nadmiarze? – zdziwił się.

– Doszedł jeszcze stryjeczny wnuczek Mateusz Matejko i pana przyjaciel z czasów młodości Stefan Jagiełło.

– Coś takiego! W życiu bym się nie spodziewał. – Ale nie wyjaśnił, czy bardziej zdziwiła go obecność wnuczka, czy przyjaciela. – Nieważne. Zaraz będziemy zaczynać. Jedzą pizzę?

– Jedzą – przytaknęłam.

– Smakuje im?

– Jedzą. – Wzruszyłam ramionami. Nie wiem, co jeszcze można powiedzieć o pizzy hawajskiej.

– Dobrze, dobrze. – Zatarł ręce. – Dali tę trzecią, darmo-  
wą?

Przytaknęłam.

– Dobrze. Za chwilę będzie ich pani tu wpuszczać pojedynczo. Bardzo jestem ciekaw, jak im pójdzie. – Znowu zatarł ręce. – Wydrukowałem już testamenty – pochwalił się,

wskazując sterty dokumentów.

– To jest ich więcej niż jeden? – Uniosłam brew.

– Oczywiście, moja droga. Każdy dostanie własny. O, tu na biurku mam imienne koperty, ale jeszcze dodam tego wnuczka.

– Stryjecznego.

– Tak, tak. I Stefka. Skoro już wpadł po tylu latach. Ale po pytaniach wprowadzę poprawki. W zależności od wyników. – Zachichotał. Najwyraźniej bawił się znakomicie. – Nie spodziewali się chyba, że po prostu przyjdą i dostaną po milionie albo i więcej.

– Mogli tak przypuszczać – powiedziałam ostrożnie.

– Po milionie! Po milionie! – zaskrzeczał gwarek.

– Za moment, Maciuś. – Polend uśmiechnął się. – Zmyślna bestia. Wie pani, czego go nauczyłem?

– Stary! A głupi! – stwierdził gwarek.

– To chyba poprzedni właściciel – zgadłam.

– Maciuś, powiedz, czego cię uczyłem.

– Czarna dupa! Czarna dupa! – wrzasnął ptak.

– Nieważne. W każdym razie plan jest taki... Bardzo proszę, żeby pani notowała, pani Łucjo.

– Lucjo. Zapamiętam.

– Hm, no jak pani uważa. Ale plan musi zostać wykonany bardzo precyzyjnie. Każdy ma równo trzy minuty. Stoi pani pod drzwiami gabinetu z sekundnikiem i kontroluje pani sytuację.

– Trzy minuty – powtórzyłam. – Z sekundnikiem.

– Doskonale, pani Łucjo. Więc zawodnik wchodzi, siada na drugim fotelu – Polend wskazał fotel po drugiej stronie biurka – i bierze ze stosu leżący na wierzchu zestaw pytań. Na wierzchu, czy wyrażam się jasno?



Moim zdaniem jaśniej byłoby trudno.

– Po trzech minutach puka pani w drzwi i zawodnik wychodzi. Ma pani dokładnie minutę na wpuszczenie kolejnej osoby, potem, po trzech minutach, znowu puka pani w drzwi i tak dalej. Zapamięta pani?

– Postaram się – obiecałam.

– Proszę już iść i zaraz zaczynamy. Aha, proszę im powiedzieć, że będą też pytania z filmu.

Film puściłam wcześniej, na polecenie Polenda. Zaczynał się muzyką z *Gwiezdných wojen* i obrazem statku kosmicznego. Potem następowało cięcie i John Polend na australijskiej plaży opowiadał, jak to się stało, że jest taki wspaniały. Opowieść obfitowała w trudne do zapamiętania fakty, na przykład liczby oznaczające przychód z poszczególnych inwestycji Polenda w określonych latach.

Słabo widziałam ten test.

Wróciłam do salonu. Pizza zniknęła, film też już się skończył. Teraz w telewizji leciał program o seryjnych mordercach. Niektórzy członkowie rodziny wpatrywali się w ekran, inni w swoje telefony komórkowe, a pozostali krążyli nerwowo z kąta w kąt.

– Dostaniemy ten testament i możemy iść? – Dopadł mnie Mariusz Sienkiewicz.

– Pan Polend postanowił wezwać każdego z obecnych i poddać go... testowi – wyjaśniłam.

Cała grupa nagle ucichła.

– Test? – zapytał Stefan Jagiełło. – Ale ja tylko...

– Testament ma być uzależniony od wyników. Mają państwo po trzy minuty na odpowiedź.

– Trzy na każde pytanie? – zainteresowała się Sabina.

– Trzy na wszystkie – uściśliłam. – Po trzech minutach

wchodzi następny zawodnik. To znaczy członek rodziny. – Już mi się udzieliła ta terminologia Polenda.

– Wracając do testamentu, uważam, że te pieniądze po prostu nam się należą. Bez pytań testowych – oznajmiła Edyta Sienkiewicz. – Pamiętam dzieciństwo bez wuja Jana. Było ciężkie, a jednak się nie skarżyliśmy.

– Cóż, wy przynajmniej mieliście mieszkanie w kamienicy, a my gnieździliśmy się w kawalerce w bloku – chlipnął Sergiusz Skarga.

– Mielicie gaz, nie było tak źle – oburzyła się Edyta Sienkiewicz.

– Ode mnie pożyczył na bilet do Australii i obiecał, że zaraz przyśle zaproszenie. To było pięćdziesiąt lat temu – przebiła wszystkich Sabina Moniuszko.

– Przysłał? – dociekała Urszula Skarga.

– Pocztówkę z Sydney. Było na niej napisane: „Kochana Basiu”.

– To musiał być cios, zupełnie jak na tym filmie – mruknął Sergiusz Skarga, wskazując telewizor, na którym prowadzący demonstrował, jak za pomocą szpikulca do lodu można uśmiercić kogoś w sekundę. Wystarczyło wbić ten szpikulcec w podstawę czaszki. Na filmie to wyglądało bardzo prosto.

– Nie wiem jak wy, ale ja uważam, że nie powinniśmy ulegać zachciankom mojego brata – skrzywiła się Urszula Skarga. – Gdybyśmy wszyscy zapowiedzieli, że absolutnie nie zamierzamy odpowiadać na żadne idiotyczne pytania, może zmieniłby zdanie. Dobrze mówię, Sergiuszku?

– Tak, mamó – zgodził się Sergiusz.

– To by się staruszek zdziwił. – Mati zachichotał. – Wy-myślił sobie własnych *Milionerów*, a chętnych nie ma. To

co, idziemy w plener? – Rozejrzał się po grupie.

– Ja nie mogę – zastrzegł się Stefan. – Muszę jeszcze...

– Oczywiście – przerwała mu Sabina Moniuszko. – To znaczy ja nigdzie z tobą nie idę, młody człowieku! Ale wychodzę. Nie zamierzam odpowiadać na żadne pytania. Poza tym ta pizza była okropna.

– Straszna – przyznała Urszula.

– A ile jest w puli? – zapytał Mateusz Sienkiewicz.

– Z tego, co mi wiadomo, dwanaście milionów sześćset tysięcy dolarów – poinformowałam go. – Plus minus, bo część jednak w akcjach.

– Australijskich czy amerykańskich?

– Australijskich.

– Szkoda – skrzywił się. – Ale może bym został...

– Łamistrajk – prychnął Sergiusz.

– Oglądam czasem *Milionerów*, nieraz bym wygrała – myślała tymczasem głośno Edyta Sienkiewicz. – W sumie nie zaszkodzi spróbować. Było takie pytanie: „Kiedy zaczęło się drugie tysiąclecie?”. Niby każdy wie, że pierwszego stycznia tysięcznego roku, ale nie uwierzycie, nikt nie odpowiedział prawidłowo. A czy będą pytania z wiedzy ogólnej? – Spojrzała na mnie wyczekująco.

Wzruszyłam ramionami.

– Ja też w to wchodzę – zdecydowała Urszula.

– W takim razie zapraszam. – Ustawiłam się pod drzwiami gabinetu i nacisnęłam stoper.

Urszula zniknęła w środku.

W salonie zaległa cisza i trwała równe trzy minuty, po których zapukałam i drzwi ponownie się uchyliły. Wszyscy obstąpili Urszulę, a ona uśmiechnęła się z wyższością.

– No cóż, jak sądzę, świetnie sobie poradziłam.

– Ale jakie były pytania? – jęknął błagalnie Sergiusz.

Urszula nachyliła się i wyszeptała mu coś do ucha.

– O, to bardzo niesportowe zachowanie! – oburzył się Mariusz Sienkiewicz. – Gdybym ja wszedł pierwszy, natychmiast zdradziłbym pytania na głos.

– Zapraszam. – Wskazałam mu drzwi do gabinetu.

– Ale jeśli tak, to teraz też nie powiem ani słówka – naburmuszył się Mariusz.

– W takim razie ja pójdę – zdecydowała Sabina Moniuszko. – Miejmy to już za sobą.

Poprawiła kapelusz, naciągnęła jedną rękawiczkę, wzięła głęboki wdech i zniknęła za drzwiami.

– Już – oznajmiła po trzech minutach z uśmiechem, wyłaniając się z gabinetu. – To nie było takie straszne, naprawdę. Po tylu latach mogło być gorzej.

Wszyscy zamarli w pół gestu albo w pół kroku.

– Naprawdę? – zapytała ostrożnie Urszula. – A jakie pani miała pytania?

– Och, naprawdę nic trudnego. – Sabina machnęła ręką. – Na przykład: „Co to jest birkin?”.

– Każdy to wie. – Edyta westchnęła. – Jane Birkin, aktorka.

– A nie, chodzi o słynną torebkę.

– A jakieś inne? – dopytywał się Sergiusz.

– No na przykład: „Jaki był przebój roku siedemdziesiątego piątego?”.

Wszyscy spojrzeli na Edytę, ale ona zbladła i wyszeptała:

– Tego przecież nikt nie wie.

– *Love will keep us together* – oznajmiła triumfująco Sabina.

– Jakim cudem pani to wie? – zdumiał się Mariusz Sien-

kiewicz.

– Słuchaliśmy tego razem. – Sabina westchnęła. – Janek jednak zawsze był romantykiem. Chociaż po latach w tej Australii zdecydowanie brakuje mu gustu w doborze stroju. A ta poszetka? Dramat!

– To jednak niesportowo. – Mariusz pokręcił głową. – Będę składał zażalenie. A może podzielimy się pieniędzmi po równo?

– Głupi pomysł – usadził go Sergiusz. – To ja idę!

– No dobrze, zdradzę wam – powiedziała Urszula, kiedy zniknął za drzwiami. Ewidentnie gryzło ją sumienie. – Do stałam do rozwiązania dylemat moralny. Czy w przypadku pożaru ratować dziecko, matkę czy inwalidę na wózku?

– Każdy wie, że dziecko. – Edyta Sienkiewicz wzruszyła ramionami.

– Dziecko jest szybkie, samo sobie poradzi. Oczywiście, że inwalidę – wskazał Jagiełło.

– Ja bym ratował matkę, może urodzić następne dziecko – uznał Mati.

– Podchodźcie do tego ze złej strony – wyjaśniła Sabina. – Ja bym dała dziecko matce, posadziła oboje inwalidzie na kolana i uratowała wszystkich.

– No skąd, to niesportowo ratować wszystkich. Można tylko jedną osobę! – oburzył się Mariusz.

Drzwi ponownie się otwały i Sergiusz wyszedł.

– Kierowca tira porusza się ulicą jednokierunkową pod prąd; policja go zauważa, ale nie zatrzymuje. Dlaczego? No dlaczego? – Spojrzał na nas z rozpaczą.

– Każdy to wie. – Edyta Sienkiewicz wzruszyła ramionami.

– Ja nie wiem. – Jagiełło pokręcił głową.

– Ja też nie – dodał Mati.

– Bo kierowca porusza się piechotą! – prychnęła Sienkiewicz.

– Myślicie, że mnie wykreśli z testamentu? I jeszcze było pytanie, co to są dzyndzałki.

– Każdy to wie – ucieszyła się Edyta.

– To takie... takie, eee... akcesoria erotyczne? – zapytał ostrożnie Sergiusz.

– Pierozki mazurskie. – Uśmiechnęła się ironicznie jego kuzynka.

– Szlag by to! – zirytował się Sergiusz. – To wina tego ptaka. Powtarzał: „Dzyndzałki, dzyndzałki” i robił to erotycznie.

– Życzcie mi szczęścia. Idę – powiedział dziarsko Mariusz i zniknął za drzwiami.

– On nic nie wie. – Edyta westchnęła. – Na pewno skompromituje nas jako małżeństwo. Zna tylko na pamięć klasyfikację skoków narciarskich.

Po tym oświadczeniu znowu nikt nic nie mówił przez trzy minuty.

– Ten gwarek to świnia! – wykrzyknął Mariusz, kiedy wybiegł z gabinetu. – Miałem pytanie o stolicę Australii i tak się zestresowałem, że nie pamiętałem, że Sydney.

– Canberra, kretynie! – Edyta Sienkiewicz straciła opamiętanie. – Każdy to wie.

– Canberra, oczywiście. – Urszula pokiwała głową.

– Jasne, że Canberra – dodał Mati.

– Miałem to na końcu języka – zirytował się Mariusz. – Ale ta świnia, to znaczy gwarek, wciąż gdakała: „Melbourne, Melbourne” i wpisałem Melbourne. A jak to się właściwie pisze? Nie wiem, czy byka nie zrobiłem.

– Wszystko jedno, jak się pisze, bo to Canberra. – Edyta Sienkiewicz złapała się za głowę. – Za kogo ja wyszłam?! Wchodzę.

– Właściwie powinienem złożyć odwołanie – monologował Mariusz. – Każdy rozproszony gdakaniem ptaka pomyliłby Canberę z Melbourne, prawda?

– Nie, raczej nie. – Mati pokręcił głową. Podniósł do góry smartfona i zaczął nagrywać filmik. – A stolica Kanady?

– Mam to na końcu języka. – Mariusz zmarszczył brwi. – Ten, no... Montreal?

– Nawet nie blisko.

– No to to drugie – stęknął Mariusz. – Toronto! O, właśnie!

– Ottawa. – Mati popatrzył na niego z potępieniem. – Pała.

– Mówiłem przecież: o, ta Tawa! – oburzył się Mariusz.

– Mnie zapytał o stolicę Południowej Afryki. – Edyta wypadła z gabinetu jak z procy. – Czy to normalne? Każdy idiota wie, że stolicą Australii jest Canberra, ale stolica Południowej Afryki? Wpisałam Johannesburg.

– Ona ma trzy stolice – wyjaśnił Mati. – W stolicy umiem świetnie. Kapsztad to siedziba władzy wykonawczej, Pretoria – ustawodawczej, a Bloemfontain – sądowniczej. Staruszek mnie nie zagnie. Wchodzę.

– A Johannesburg? – Edyta załamała rękę.

– To zwykłe miasto, każdy to wie. – Mariusz wzruszył ramionami.

– Ten ptak gadał cały czas: „Stara rura, stara rura” – oburzyła się Edyta. – Tobie przynajmniej podpowiadał! – zwróciła się z pretensją do męża.

– Złośliwie mnie oszukał. – Mariusz się zamyślił. – Żle

mu z oczu patrzyło.

Nie zdołał rozstrzygnąć, czy Maciuś oszukał go celowo, czy niechcący, bo Mati, zdenerwowany, wyskoczył z gabinetu.

– Dostaliście pod choinkę ziarna zboża. Zemlecie je na mąkę i nakarmicie głodne dziecko, czy zasadzicie zboże, żeby za rok nakarmić więcej dzieci?

– Wiadomo, że trzeba nakarmić dziecko – uznała Edyta. – Dzieci to nasz kapitał. Zwłaszcza kiedy przejdą kurs inteligencji molekularnej.

– A nie mówi się czasem „zmielicie”? – zapytała Urszula.

– To może być haczyk – zacukał się Mariusz. – A co, jeśli tym dzieckiem jest mały Hitler?

– W grudniu nie sadi się zboża. Haczyk – wyjaśniła Sabina.

Mati padł na krzesło.

– Ale z tym gwarkiem to mnie zrobił staruszek w trąbę. – Pokręcił głową. – Celowo mnie ptak wpuszczał w maliny. Skrzeczał cały czas: „Zła odpowiedź, zła odpowiedź”. A kiedy miałem pytanie, co to jest rabindranath tagore, to wrzeszczał: „Poeta indyjski, poeta indyjski”.

– Łeb bym ukręcił – syknął Mariusz.

– No to akurat prawda – zauważyła Edyta. – Bardzo sławny poeta. Indyjski. Wszyscy to wiedzą.

– Jezuu, a ja napisałem, że to kraina w Wielkiej Brytanii. – Mati złapał się za głowę. – Serio tak się nazywał? To jak go wołali na dzielni? Rabek?

– Wchodzę – oznajmił Stefan.

– A u pani ptak coś mówił? – dopytywał się jeszcze Siergiusz Sabiny.

– A tak, tak. Bardzo nieeleganckie zwierzę. Mówił:



„Czarna dupa” – wyjawiała Sabina. – A Janek tylko się zaśmiewał. On jednak zawsze był gruboskórny.

– To bardzo niesportowo – szepnął Mariusz.

– Powtórzyłbym sprawdzian, ale bez ptaka – podsunął Sergiusz. – I żeby były te same pytania. Myśli pani, że on się zgodzi? – Spojrzał na mnie.

– Panu Polendowi bardzo zależało na ptaku – wykręciłam się od odpowiedzi.

– Czwarta cyfra po przecinku w liczbie pi – jęknął Stefan, wychodząc z gabinetu.

– Każdy to wie. – Edyta wrzuciła ramionami. – Pięć.

– A w którym roku wyginęły wilki tasmańskie?

– To też wie każdy. W tysiąc dziewięćset trzydziestym.

– Tak właśnie myślałem. – Stefan westchnął. – Ale ten bydlak, ptak znaczy, wrzeszczał „trzydzieści” i „sto trzydzieści” na zmianę. To pomyślałem, że jak najpierw oszukiwał, a potem mówił prawdę, to teraz znowu oszukuje. Ale nie jestem taki głupi, więc napisałem tysiąc osiemset trzydzieści.

– Wszyscy już byli – zauważył Mariusz.

– No, szybko to obskoczyliśmy – poweselał Mati i wyciągnął rękę, żeby przybić piątkę, ale nikt nie zareagował.

– I co teraz? – zapytała Urszula.

To, dla odmiany, było bardzo dobre pytanie.

## Rozdział 8

– Spróbuję się dowiedzieć – obiecałam. – Czy mam też poprosić pana Polenda o zgodę na zamówienie jeszcze jednej pizzy?

Wszyscy jak jeden mąż pokręcili głowami.

– Stara rura! Stara rura! – powitał mnie Maciuś, przyjaźnie przekrzywiając łeppek.

Polend siedział w fotelu odwróconym w stronę okna i nie reagował. Stanowczo pozwalał temu ptakowi na zbyt wiele.

Pogroziłam gwarkowi palcem, co przyniosło natychmiastowy skutek.

– Pana rodzina pyta, co dalej – przekazałam.

Polend milczał. Zaslaniało go wysokie, sięgające ponad głowę oparcie.

– Ale numer! Ale numer! – zaskrzeczał Maciuś. – Nie wybaczę ci!

Znowu pogroziłam mu palcem. Nie lubię, kiedy ptaki posuwają się do gróźb.

Zbliżyłam się do okna.

– Panie Janie... – zaczęłam, ale nie skończyłam.

John Polend uśmiechał się od ucha do ucha i wpatrywał w górną ramę okna. Nie poruszył się, kiedy podeszłam.

Miał powód, ale nie miał on nic wspólnego z oknem, tylko z kołnierzem marynarki. Tkwiła tam szpila wbita po samą główkę w kark. Biały kołnierz koszuli pod marynarką zdążył już poczerwienieć od krwi. John Polend niewątpliwie znajdował się w innym świecie.

– Raz kozie śmierć! – wrzasnął gwarek, zachwycony sobą. – Raz kozie śmierć!

## Rozdział 9

Ostrożnie chwyciłam Polenda za rękę, żeby sprawdzić puls, choć byłam zdania, że szansa na puls u kogoś ze szpilą wbity w kark jest raczej znikoma. Moja opinia się potwierdziła. Pulsu nie było.

Usłyszałam za sobą dźwięk otwieranych drzwi i do środka zajrzał Mariusz Sienkiewicz. Najpierw potoczył zbaramiałym wzrokiem po pokoju. Potem zobaczył mnie trzymającą Polenda za zakrwawioną rękę. A na koniec wrzasnął:

– Ej, staruszek się przekreśli!

Zanim zdążyłam zareagować, wszyscy pozostali również wpadli do gabinetu.

– Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka! – wrzasnął Maciuś.

– A jednak nie taki z niego kretyn. – Mariusz pokręcił głową z uznaniem.

– Są testamenty! – rozpromienił się Sergiusz i sięgnął po teczkę ze swoim nazwiskiem leżącą na biurku.

– Pan Polend twierdził, że to nie są wersje ostateczne, wspominał o poprawkach – zauważyłam. – Miały być uzależnione od wyników testów.

– Wątpię, żeby zdołał je nanieść. – Sergiusz wyszczerzył zęby w uśmiechu, kartkując swój egzemplarz. Dotarł do punktu, który szczególnie go interesował, i mina mu zrzedła. – Mamo, czy ty to widzisz? – Ruszył w stronę Urszuli, która studiowała swój testament.

– Jak mógł coś takiego zrobić. – Urszula westchnęła. – To po prostu skandal. Żeby mnie, swojej siostrze, wyciąć taki numer!

– Zupełnie nie rozumiem, o co wam chodzi. Jak możecie się skarżyć? – jęknęła Edyta Sienkiewicz. Opadła na krzesło w stylu Ludwika-któregoś-tam. Wyglądała na załamana. – Zgarnęliście przecież wszystko, a my praktycznie zostaliśmy goli.

– Liczyłem, że staruszek jednak bardziej się postara – mruknął Mariusz. – Cóż, w takim razie nie ma co odwlekać. Skoro tak, to możemy się rozwieść nawet jutro. Składam papiery.

– Przecież dostaliście willę w Sydney. Wartą dobre trzy miliony dolarów. I jeszcze cztery miliony w gotówce – zdumiał się Mati. – Ja też bym chciał taką chatę. A mnie staruszek zostawił sprzęt ogrodniczy: kosiarkę i traktorek. Wrócę sobie tym traktorkiem z Sydney? Wolne żarty. Mama się w grobie przewraca. Dziadek też!

– No, oprócz kosiarki i traktorka zostawił ci jeszcze jacht Dla Elizy, młody człowieku – zauważył Stefan Jagiełło. – I dwa miliony dolarów. Na paliwo starczy.

– A kim właściwie była ta Eliza? – zapytała Sabina.

– Eliza daj liza! – wrzasnął Maciuś.

– Cicho, ptak! – zirytował się Mati. – Jaki jacht? Wyraźnie jest napisane „traktorek i kosiarka”. Nie będę przecież jechał do Sydney po jakąś głupią kosiarkę. Niech się wypcha.

– No przecież wyraźnie jest napisane: „Dla mojego ukochanego wnusia Mateuszka – jacht”. – Jagiełło podsunął Matiemu pod nos swój egzemplarz testamentu.

– U mnie jest traktorek i kosiarka. Używane.

– Chwila moment! Też mam napisane, że Mati dostaje jacht! – zawołał Mariusz. – Czemu mnie go nie zapisał?

– Może dlatego, że dostałeś willę i cztery bańki. – Teraz

Mati podetknął mu pod nos swój testament.

– Proszę państwa, powinniśmy jednak zadzwonić po policję. Mamy tu ofiarę morderstwa – zauważyłam, ale na nikim nie zrobiło to wrażenia.

– Ja dostałem jego stary rower marki Peugeot oraz kolekcję zasuszonych motyli. Nie znoszę motyli – skrzywił się Stefan Jagiełło.

– A w moim egzemplarzu napisał, że to ja dostałem te cholerne motyle i jeszcze basen dmuchany z zadaszeniem. Też w Australii – wkurzył się Sergiusz.

– U mnie jest napisane, że dostałeś trzy bańki i maybacha – zdumiał się Mariusz.

– Staruszek w każdym testamencie powypisywał co innego – zauważył Mati. – Ale numer.

– Ale numer! – potwierdził Maciuś. – Ale numer!

– Starszy człowiek i żeby takie rzeczy wyczyniać. – Edyta pokręciła głową. – Niech mu ziemia lekka będzie, ale jednak niesmak pozostanie.

– Naprawdę muszę zadzwonić na policję – poinformowałam zebranych. – Pan Polend został zamordowany za pomocą wbitej w kark szpili.

– Ta szpila to też przykład jego złego gustu – obruszyła się Sabina. – I skąpstwa. Żeby narzeczonej, nieważne, że byłej, nieważne, że sprzed pięćdziesięciu lat, wręczać taki przedmiot niewielkiej wartości i w dodatku, jak widać, niebezpieczny?

– Znam małżonki, które chętnie wręczyłyby, albo raczej wbiły taką szpilę mężowi – mruknął Mariusz, zerkając na Edytę.

– Momencik – zawołał Mati. – To znaczy, że staruszek nie wykorkował na zawał, tylko ktoś mu wetknął szpilę

w kark?

– Właśnie staram się to państwu powiedzieć. – Pokiwałam głową.

Wybrałam na komórce sto dwanaście.

– Będą tu niebawem – obwieściłam. – Proszę, żeby się nie oddalać i niczego nie dotykać.

– A gdybym szybciotko zawiozła dzieci na te zajęcia z inteligencji molekularnej, to mieliby pretensje? – zastanowiła się Edyta. – Wróciłabym za jakieś trzy godzinki.

– Mogliby mieć – stwierdziłam.

– Przecież to prosta sprawa. – Urszula wstała z krzesła i zaczęła się przechadzać po gabinecie. – Każdą zbrodnią rządzi wewnętrzna logika, a ja jestem specjalistką w uwalnianiu tego, co kryje się we wnętrzu. Poza tym przeczytałam wszystkie książki Agathy Christie. Herkules Poirot niewątpliwie zapytałby, kto miał sposobność.

– Wszyscy mieliśmy sposobność. – Stefan Jagiełło wzruszył ramionami. – Ale ja tylko chciałem...

– Największą sposobność miał ostatni wchodzący. – Urszula popatrzyła na niego surowo.

– No ba, pewnie. – Jagiełło się uśmiechnął. Po chwili uśmiech spłynął mu z twarzy. – Co pani sugeruje? Ja przecież wchodziłem ostatni.

– A więc przyznaje się pan? – Urszula wskazała go palcem. – Proszę państwa, zagadka była trywialna. To on zabił naszego ukochanego brata, wuja i stryjecznego dziadka...

– ...oraz byłego narzeczonego – dopowiedziała Sabina.

– Mówię wyłącznie w imieniu rodziny! – fuknęła Urszula. – Więc to on go zabił. Dałabym sobie głowę uciąć, że planował to od dawna. Proszę państwa, oto morderca.

– Ale jaki morderca? Chwila moment! – zirytował się Ja-

giełło. – Ja tylko chciałem...

– Dawniej mordercy mieli klasę – mówiła dalej z goryczą Urszula. – Kiedy się ich wskazywało, wstawali i mówili: „To prawda, zabiłem go, bo nie mogłem znieść upokorzenia z jego strony”. A potem wiadomo, pojawiał się Scotland Yard.

– Ciocia ma trochę racji – przyznała Edyta. – Chce pan, żebyśmy uwierzyli, że wujek był zdrowy jak rydz, kiedy pan wychodził, a kilka minut później nagle zmarł?

– Mogło tak być. – Jagiełło rozłożył ręce.

– Ze szpilą w karku? Wbił ją sobie sam? – prychnęła Edyta.

– Żeby rzucić na mnie podejrzenie? Ja tam nie wiem...

– To byłby jednak ewenement wbić sobie szpilę w kark ze skutkiem śmiertelnym po to, żeby rzucić na kogoś podejrzenie. – Mariusz Sienkiewicz się skrzywił.

– Herkules Poirot jest już passé. – Sergiusz pokręcił głową. – Ja gram zwłoki i stąd wiem, że najważniejsze są ślady mikrobiologiczne. Nauka, nie dedukcja!

Przysunął się do mnie i wyszeptał:

– Widzi pani, znowu postawiłem się mamie!

– Nic nie zastąpi intelektu – naburmuszyła się Urszula Skarga. – Ale oczywiście ty zawsze wiesz lepiej. Szkoda, że nie masz bladego pojęcia, jak prowadzić własną firmę, i musisz dorabiać w jakichś marnych filmach.

Sergiusz się skulił i wymamrotał coś, co brzmiało jak: „Dobrze, mamó”.

– Ale Sergiusz ma rację – powiedziała Edyta. – Widziałam taki serial, gdzie detektyw, grany zresztą przez Roberta Wieczorka, zbadał podejrzanego, czy nie ma na sobie mikrowłókien i mikrośladów.

– Wieczorek to gra wszystkich polskich detektywów – mruknął Mati. – Ale pomysł z tymi mikrośladami nie jest zły. Trzeba sprawdzić mikroślady na ciele pana Stefana.

– Ja sobie wypraszam, nie będzie mnie pan tu macał – obruszył się Stefan. – Poza tym ja tylko chciałem...

– Tu właśnie trzeba użyć dedukcji. – Urszula podniosła palec. – Niech nikt nie opuszcza pomieszczenia.

I rozpoczęła się kłótnia. Część obecnych stanęła murem za Herkulesem Poirot, inni uznali, że koniecznie trzeba zbadać ślady na ciele Stefana. Maciuś wykrzykiwał na zmianę: „Dedukcja, jego mać!” i: „Analiza linii papilarnych!”.

Odsunęłam się nieco na bok i wtedy usłyszałam znajomy głos:

– Czy to nie zadziwiająca koincydencja? Jak to jest, pani Lucjo, że ilekroć natykam się na zwłoki, pani też przy nich jest?

Uśmiechnęłam się promiennie do aspiranta Koniecznego, który z marsową miną zatrzymał się w drzwiach do gabinetu i lustrował sytuację.

– Można to pytanie zadać w inny sposób – zauważyłam. – Jakim cudem, kiedy znajduję kolejne zwłoki i dzwonię pod sto dwanaście, znowu zjawia się pan? Nie ma w Polsce innych policjantów?

– Mogę to wyjaśnić. Akurat w komendzie głównej odbywa się szkolenie *Śmierć zadana ostrymi narzędziami. Metodyka badań w terenie. Teoria i praktyka*. Razem z Władkiem zostaliśmy oddelegowani przez naszą jednostkę, żeby potem nie było, że policjanci nie podnoszą swoich kwalifikacji. Bo podnoszą.

– Ani przez chwilę w to nie wątpię – zapewniłam go.



– No więc gdy dostaliśmy zgłoszenie o śmierci zadanej ostrym narzędziem, inspektor Wąski natychmiast powiedział, że denat po prostu spadł nam z nieba i to bardzo szczęśliwa koincydencja. Powiedział: „Jedź, a od razu dostaniesz zaliczenie”. Więc przyjechałem. Bo śmierć nastąpiła na skutek dźgnięcia ostrym narzędziem, prawda? – upewnił się.

– Tak, szpilą – wyrwała się przed szereg Urszula Skaruga. – I znaleźliśmy już mordercę. To znaczy ja go znalazłam.

– Protestuję! – zawołał Jagieło. – Jestem niewinny i nikt mnie nie będzie macał. Ja tylko chciałem...

– Pani Lucjo, jak to się dzieje, że ilekroć natykam się na zwłoki i na panią, mam w dodatku wrażenie, że trafiłem do domu wariatów? – jęknął Konieczny.

– Dupek! Dupek! – wrzasnął Maciuś.

Konieczny podskoczył i rozejrzał się w poszukiwaniu osoby, która to powiedziała.

– Proszę nie brać tego do siebie – wyjaśniłam. – To tylko ptak.

– I kłamie jak z nut – dodał Mariusz Sienkiewicz.

## Rozdział 10

Oglądaliście na pewno nieraz film, w którym bohater zostaje w tajemniczy sposób przeniesiony tysiąc lat w przeszłość lub przyszłość. Potyka się o sprzęty domowego użytku, nie potrafi napuścić wody do umywalki lub z krzykiem ucieka przed nadjeżdżającym pojazdem.

Obserwowałam Koniecznego otoczonego przez rodzinę Polenda. Kazał im wyjść z gabinetu, zapędził do salonu i usiłował zaprowadzić porządek oraz zrozumieć cokolwiek z tego, co się wydarzyło. Zastanawiałam się, kiedy zacznie błagać o pomoc. Biedak najwyraźniej tonął, ale jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Pan rozumie, panie policjancie: kosiarka. No jak mnie, starszej kobiecie, dawać kosiarkę? I to w dodatku kosiarkę, która jest w Sydney. Czy pan by poleciał po kosiarkę do Australii? – załamywała ręce Urszula.

– To ja dostałem kosiarkę! – przekrzykiwał ją Stefan. – A ja tylko chciałem...

– Wcale nie, bo ja! – Mariusz Sienkiewicz przebił się przez tłumek i wymachiwał swoim egzemplarzem testamentu.

– Moment! – wrzasnął Konieczny. – Jaka kosiarka? Zresztą nie tłumaczcie – zreflektował się w końcu. Ale było za późno. Wszyscy ponownie na niego natarli, wymachując dokumentami.

– Kto ostatni widział denata? I jak on się nazywał?

– John Polend – wyjaśniła Sabina.

– Poland? Polska? – Konieczny nie dowierzał.

– Nie, nie Polska. Koniecpolski – dorzuciła Edyta. – Ja to

wszystko wyjaśnię, bo wy tylko robicie zamieszanie. – Spojrzała na obecnych z wyższością.

– Bardzo proszę. – Konieczny westchnął.

– Sprawa jest prosta. Denat, to znaczy wujek, nazywał się Jan Koniecpolski, ale to było długie nazwisko, więc je w Australii zamienił na Polend. Bo „Pol-end” to po australijsku „koniec Polski”. To znaczy po angielsku. Rozumie pan?

Konieczny się skrzywił. Wyglądało, że przynajmniej to jedno zrozumiał.

– Wujek mieszkał w Australii przez ponad czterdzieści lat i zarobił dwanaście milionów dolarów.

– Ale australijskich. One stoją znacznie słabiej niż amerykańskie – uściślił Mariusz Sienkiewicz.

– To bez znaczenia – zirytował się Konieczny.

– Przeciwnie, to ma wielkie znaczenie – oburzyła się Urszula Skarga. – A jeszcze dodam, że przez te wszystkie lata w ogóle nie wspomagał rodziny, jak inni emigranci. Na przykład ciotka mojego sąsiada regularnie przesyłała przelew. Kupili sobie cinquecento jeszcze w latach dziewięćdziesiątych...

– Do rzeczy! – ryknął Konieczny.

– Przecież właśnie mówię! – Teraz zirytowała się Edyta. – A proszę zauważyć, że miałam być właśnie z dziećmi na warsztatach z inteligencji molekularnej. Czy pan zdaje sobie sprawę, ile trzeba czekać na termin? Na pewno pan nie ma pojęcia. Pół roku! I właśnie mi przepadł. Chyba że mogłabym wyskoczyć na jakieś trzy godzinki... – Spojrzała wyczekująco na Koniecznego.

Aspirant cały poczerwieniał i na czoło wystąpiły mu żyły.

– No dobrze, już dobrze, zostanę. – Edyta machnęła

ręką. – Chociaż bardzo bym chciała, żeby ta moja strata się opłacała. Finansowo – podkreśliła, jakby bała się, że Konieczny nie zrozumie.

Konieczny udawał, że nie rozumiał.

– Ale wracając do wuja Janka – powiedziała Edyta – przyjechał do Polski...

– A teraz wyjedzie w trumnie i będzie Polexit. – Mariusz Sienkiewicz zachichotał, ale zamilkł skarcony kamiennymi spojrzeniami Koniecznego i własnej żony.

– ...bo postanowił zostawić nam swój majątek – dokończyła zdanie Edyta. – Ja jestem jego siostrzenicą, to jest mój jeszcze mąż – wskazała na Mariusza Sienkiewicza – mój brat cioteczny Sergiusz, ciocia Urszula, a to pani Sabina, czyli dawna narzeczona wujka, oraz pan Stefan Jagiełło, przyjaciel wujka z dawnych lat, który akurat wtedy przechodził i wpadł.

– Bo ja tylko chciałem... – zaczął Jagiełło, po czym machnął ręką i odsunął się w najdalszy kąt.

Sabina zrobiła krok i poprawiła Koniecznemu kołnierz od służbowej kurtki. Odstąpiła i przyjrzała mu się krytycznie, a potem pokiwała głową.

– I właśnie dlatego uważamy, że on jest mordercą, bo wszedł do gabinetu jako ostatni, więc tylko on mógł go dźgnąć szpilą – dokończyła za Edytę Urszula.

– Nie dźgnąłem go żadną szpilą – warknął Jagiełło. – Ja tylko chciałem...

– Ja ustalam, kto zabił, a nie państwo – przypomniał Konieczny.

– Czy może pan to ustalić szybciotko – nalegała Edyta – bo muszę zrobić chłopcom kolację? Nie dość, że ominęły ich warsztaty z inteligencji molekularnej, to jeszcze tracą pe-

łnowartościowy posiłek. Rozumie pan chyba, jakie to ważne dla rozwoju inteligencji.

Konieczny postanowił nie podejmować tematu inteligencji.

– A to kto? – spytał i nieelegancko pokazał palcem Matiego.

– Mati-Mat – przedstawił się chłopak. – To znaczy Mateusz Matejko. Stryjeczny wnuk denata. Mogę na bieżąco filmować akcję policji i wrzucać relację na YouTube’a?

– Wykluczone! – Koniecznym wstrząsnęły dreszcze. – Zabraniam kategorycznie!

– A wie pan, jak by mi skoczyły zasięgi? Panu też by skoczyły.

Konieczny rozejrzał się w popłochu, ale nie sądziłam, żeby szukał wyjaśnienia, czym są zasięgi na YouTube.

Zdecydowałam, że czas wkroczyć do akcji. Mimo wszystko zrobiło mi się go żal.

– Może wejdziemy do gabinetu i wszystko wyjaśnię – proponowałam.

– Wykluczone, to nie miejsce dla cywilów. Zwłaszcza wścibskich – warknął Konieczny.

– A to jak pan chce.

Konieczny otarł pot z czoła. Zobaczył, że zmierza ku niemu Urszula Skarga, i złapał mnie za ramię.

– Tak, wejdźmy natychmiast do gabinetu – powiedział, a potem groźnie spojrzął na pozostałych. – A państwo siedzą, nie rozmawiają, nie chodzą, nie wychodzą, nic nie robią. Czy to jasne?

Weszliśmy do gabinetu, zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć.

Konieczny zamknął drzwi i oparł się o nie, jakby obawiał

się, że świadkowie przypuszczą szturm. Spojrzał na mnie z rozpaczą.

– Inspektor Wąski... – zaczął.

– Tak, to oczywiste, że od razu by ich wszystkich zamknął – dokończyłam przewidująco.

Wspomnienie o inspektorze Wąskim przyniosło Koniecznemu wyraźną ulgę. Oddech mu się trochę uspokoił i aspirant odważył się oderwać plecy od drzwi.

Rozejrzał się po gabinecie i gwizdnął.

– Fiu, fiu, na bogato. – Zbliżył się do rzeźby i obszedł ją dookoła. – Ciekawe, ile takie cudencko kosztuje. Pewnie z dziesięć tysięcy, co?

– Dwieście siedemdziesiąt – powiedziałam. – To oryginał.

Koniecznemu oczy wyszły z orbit i chwilę trwało, zanim zdołał znowu coś powiedzieć.

– Za to można jaguara kupić.

– Pewnie pan Polend by kupił, gdyby dało się go postawić koło biurka i klucz nim w oczy – przyznałam.

– A ta lampa pewnie warta... – Zastanowił się chwilę. – Z piętnaście, co?

– Trzydzieści trzy tysiące. Ręcznie robiona. Murano. Pojedyncze egzemplarze.

– A ten fotel? – indagował Konieczny.

– Kosztował czterdzieści dziewięć tysięcy. Ale ma trzydzieści trybów masażu. Oraz tapicerkę ze skóry jaka czy czegoś podobnego – wyjaśniłam. – Panu Polendowi zależało na egzotycznym obiciu.

– Biurko też czterdzieści? – zgadywał dalej Konieczny.

– Biurko to akurat wypożyczone. Trzy tysiące miesięcznie.

– Władek ma tyle pensji. – Aspirant wybałuszył oczy. – A ja niewiele więcej. Muszę mu pokazać to biurko.

Przy biurku i nieżywym Polendzie krzątało się dwóch techników w białych kombinezonach. Jeden zbierał ślady, drugi fotografował ciało. Konieczny pochwycił moje spojrzenie i uśmiechnął się triumfalnie.

– Co stolica to stolica. Myślała pani, że nie będzie techników, co? Jak ostatnim razem, prawda? A tu polska policja staje na wysokości zadania! – Uderzył się w pierś. – Sprawca tej zbrodni zostanie schwytyany i przykładowie ukarany. Już ja o to zadbam. A pani, pani Lucjo, po przesłuchaniu będzie mogła udać się do domu. O ile oczywiście nie powstaną uzasadnione wątpliwości co do pani braku udziału w zdarzeniu.

– Czyli ja też jestem podejrzana? – zaciekawiłam się.

– Jak wszyscy obecni. – Pokiwał poważnie głową. – Niestety będę musiał panią prosić, aby udała się pani do salonu i czekała, aż wezwę panią na przesłuchanie.

– W porządku. – Uśmiechnęłam się. – Pójdzie szybko. Nie miałam przynajmniej żadnego testamentu.

– A o co chodzi z tymi testamentami? – zainteresował się nagle Konieczny.

– Pan Polend postanowił zainscenizować swoją wersję *Milionerów* – powiedziałam.

– Aha. I kto zgadł, miał dostać te dwanaście milionów? – dopytywał Konieczny. – A kto nie zgadł – kosiarkę?

– Nie do końca. Pan Polend zrobił dodatkowe utrudnienie. Każdy testament był inny. Kosiarkę zostawił kilku osobom. Traktorek zresztą też. Nie wspominając o domu i jachcie. W każdej wersji testamentu ktoś inny zgarniał główną wygraną.

– Jezus Maria, nic z tego nie rozumiem. To w końcu komu on chciał zostawić majątek? – jęknął Konieczny.

– Możliwe, że nikomu. Nie wykluczam, że chciał się po prostu zabawić – wyjaśniłam.

– No to zabawił się na amen. – Konieczny spojrzał na siedzące w fotelu zwłoki. – A o co chodziło z tym Herkulesem Poirot?

– Część podejrzanych jest za tym, żeby zagadkę rozwiązywać, idąc tropem dedukcji. Za to pozostali bardziej cenią metody CSI. – Machnęłam ręką. – A najbardziej pan Sergiusz Skarga, który gra zwłoki.

– Jakie zwłoki? Są tu jeszcze jedno zwłoki? – Konieczny zareagował na to słowo jak pies Pawłowa na dzwonek.

– Nie, on był zwłokami. Dorabia sobie, grając zwłoki w filmach historycznych i kryminalnych, i w związku z tym uważa, że posiada potrzebną wiedzę – wyjaśniłam.

– Jezus Maria! – jęknął znowu Konieczny. – Inspektor Wąski mnie zabije.

– Ostрым narzędziem?

Nie załapał dowcipu.

– Mówił mi: „To prosta sprawa, jedziesz i wracasz z winowajcą przed zakończeniem kursu”.

– A kiedy kończy się kurs?

– Dziś o dwudziestej pierwszej. – Konieczny westchnął ponuro. – Może gdybym wszystkich ich zamknął... – Spojrzał na mnie z nadzieją.

– Nie. To działka inspektora Wąskiego.

– No tak – jęknął jeszcze głośniej. – Czyli jednak mnie zabije.

– Wąski kretyn! – włączył się do rozmowy Maciuś, który do tej pory siedział podejrzenie cicho. – Wąski stara rura!



Oczy Koniecznego zrobiły się wielkie jak spodki.

– Dlaczego on to mówi?

Wzruszyłam ramionami.

– To gwarek. Błyskawicznie uczy się imitować wypowiedziane zdania. Niestety ten często też improwizuje.

Konieczny spojrzał na mnie z wyrzutem.

– Jeśli to zwierzę zostanie dowodem rzeczowym i zaczniesz na przesłuchaniu wygadywać takie rzeczy o inspektorze Wąskim, moja kariera będzie skończona.

– Wąski skończony! – wrzasnął Maciuś.

– Może niech pan lepiej zachowa milczenie. Wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu – poradziłam mu.

– To co mam zrobić? – Spojrzał na mnie z rozpaczą. – Inspektor... – Zamilkł na chwilę i zerknął na gwarka. – Szef każe mnie zamknąć, jak usłyszy tego kuraka. On nie ma poczucia humoru.

– Wąski nie ma czucia! – popisał się inwencją Maciuś.

– Przecież nie wymieniłem jego nazwiska, bydlaku! – ryknął Konieczny i pogroził Maciusiowi pięścią. – Nie zrobiłem tego, prawda? – Spojrzał na mnie z nadzieją. – Jakby trzeba było zeznawać, potwierdzi to pani?

– No nie wiem – zastanowiłam się. – Kazał mi pan siedzieć z innymi w salonie i czekać na swoją kolej.

– Nieprecyzyjnie się wyraziłem – tłumaczył się Konieczny. – Miałem na myśli, żeby siedziała pani tutaj, ze mną. To jak?

– I w końcu jestem podejrzaną – przypomniałam mu.

– Ależ skąd! Nie wiem, dlaczego to pani przyszło do głowy. – Spojrzał na mnie błagalnie. – Niech się pani zgodzi poprowadzić ze mną tę sprawę. Bardzo panią proszę. Co

pani szkodzi? Pani pracodawca i tak nie będzie się czepiać.  
Daję głowę.

– Sama nie wiem. – Spojrzałam w sufit. – Podobno jestem wścibska.

– W śledztwie to zaleta. Błagam panią, pani Lucjo. Inaczej inspektor... – Konieczny ugryzł się w język i zerknął nienawistnie na ptaka.

A Maciuś spojrzał na nas beczelnie i wrzasnął:

– Wąski wszystkich zamknie! Zamknie! Zamknie!

## Rozdział 11

Konieczny siedział na brzeżku fotela z kawą, którą mu zrobiłam. Mimo wszystko nie chciałam, żeby on też zszedł z tego świata, a był tego bliski po usłyszeniu historii o testamentach. Po wypiciu dwóch filiżanek przestał narzekać i martwić się, że inspektor Wąski go zamknie, za to zaczął przeklinać. Zawsze to jakiś postęp.

Technicy wyszli, ale ciało Polenda wciąż spoczywało na fotelu i nieco odwracało naszą uwagę od poszukiwań mordercy.

– No dobrze – westchnął Konieczny, kiedy już skończyły mu się przekleństwa. – Może dziadek skomplikował trochę sprawę, może rodzina to banda uciekinierów z wariatkowa, może ptak to kapuś...

– Kapuś! Kapuś! – wrzasnął Maciuś.

– Cicho, bo ciebie też zamknie sam wiesz kto – zgasił go Konieczny. – Ale sprawa jest trywialnie prosta.

– O, doprawdy? – spytałam.

– Owszem. – Konieczny uśmiechnął się z wyższością. – Oczywiście nie neguję pani umiejętności jako tej... no... Home Desperate Manager, ale...

– Disaster – poprawiłam.

– Niech będzie – zgodził się uprzejmie. – Ale nie posiada pani umiejętności prawdziwego policjanta...

– Takiego jak pan – weszłam mu w słowo.

– Na przykład.

– Albo jak Władek?

Z satysfakcją zauważyłam, że Koniecznym wstrząsnął dreszcz.

– Jego pomińmy. Może z czasem się wyrobi. Choć to trochę potrwa...

– Mówimy o stuleciach? – podsunęłam mu.

– Powiedzmy, że dziesięcioleciach. – Westchnął. – W każdym razie pani tych umiejętności nie posiada. A sprawa jest naprawdę trywialna. Pomijając fakt, że mamy do czynienia z bandą wariatów, to oczywiste, kto zabił. Więc ja dokonam aresztowania, a pani będzie mogła wrócić do swoich obowiązków.

– Cudownie – ucieszyłam się. – A mógłby pan mnie oświecić? Co do osoby mordercy.

– To Stefan Jagiełło – wyjaśnił Konieczny z uśmiechem. – Nie ma wątpliwości. Mogę pani wyjaśnić, skąd bierze się moja niezachwiana pewność.

– Bardzo proszę – poprosiłam.

– Być może nie zwróciła pani uwagi na fakt, że oni wchodzili tu pojedynczo, w określonym porządku. – Konieczny podniósł palec. – Ten, kto wszedł po mordercy, niewątpliwie zauważyłby, że pan Polend nie żyje. A ponieważ nikt się nie spostrzegł, co to oznacza, droga pani Lucjo?

– Czekam, aż mnie pan oświeci.

– Służę uprzejmie. – Konieczny uśmiechnął się z pobłażaniem. – Ponieważ nikt nie wszczął alarmu, mordercą mogła być tylko osoba, która weszła jako ostatnia. Czyli Stefan Jagiełło. Aresztuję go i jak to się mówi: „Sprawa zamknięta, Wąski szczęśliwy”.

– Wąski! Wąski! – wrzasnął Maciuś. – Stara rura!

– Cholera by wzięła tego ptaka – zaklął Konieczny.

– Cholera! Wąski – zaklął Maciuś.

Konieczny spojrzał na mnie z rozpaczą.

– Miał mnie pan oświecać – przypomniałam mu.

– To już wszystko.

– A jeśli ktoś nie zauważył, że Polend nie żyje? – zapytałam.

– Jak to nie zauważył? – zdumiał się Konieczny. – Nie zauważył denata? Pani Lucjo, musi pani się jeszcze wiele nauczyć o ludziach.

– Bardzo chętnie – przytaknęłam. – Uwielbiam się uczyć. To może pan mnie czegoś nauczyć? Zrobmy rekonstrukcję zbrodni. Ja będę Polendem, usiądę na tym drugim fotelu, a pan będzie jednym z wchodzących.

– Dla mnie sprawa jest oczywista, ale skoro pani nalega... – Konieczny wstał i ruszył do drzwi.

Usiadłam na fotelu. Policjant udał, że wchodzi. Skierował się do biurka, przy którym zasiadali rozwiązujący zadania, i cały czas monologował.

– Jak pani widzi, mimo że mam głowę zajętą pytaniami, utrzymuję kontakt wzrokowy i nic mi nie umyka. Biorę kartkę, odczytuję pytanie, a mój umysł wszystko analizuje. „Czy gdybyś mógł się przenieść do roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego, zabiłbyś malutkiego Adolfa Hitlera w kołysce?”. Tak, jasne – odpowiedział samemu sobie.

– Zabiłby pan noworodka? – zapytałam.

– To zbrodniarz. – Konieczny chrząknął.

– Póki co osesek. Czyli gdybym panu powiedziała, że jakieś niemowlę na spacerze w wózeczku za trzydzieści lat wymorduje połowę ludzkości, uwierzyłby pan?

– Wpisuję „nie”. – Konieczny otarł pot z czoła.

– No i nie powstrzymałby pan wojny.

– Przejdę do następnego pytania. „W którym roku odkryto okapi?”. Skąd mam wiedzieć, na litość boską?

– Niech pan strzela – poradziłam.

– Powiedzmy, w tysiąc dziewięćsetnym – mruknął i wpi-  
sał do rubryczki. – Co tu jeszcze mamy? „W czym obtacza-  
my kotlet schabowy przed smażeniem?”. Co to w ogóle za  
pytanie?

– Proszę odpowiedzieć. Kategoria: kulinaria.

– Bez sensu, każdy to wie.

– A więc?

– Eeee... W bułce tartej?

– Czas zaraz minie – przypomniałam.

– W bułce tartej – zdecydował Konieczny. – Dobrze?

– Pan wegetarianin? – zainteresowałam się.

– Skąd – oburzył się. – Ale gotuje żona.

– Na wypadek gdyby wyjechała: najpierw w mące, potem  
w jajku, a na koniec w bułce.

– Czyli miałem rację! – ucieszył się.

– W jednej trzeciej.

– Nie zbaczajmy z tematu. – Konieczny wstał. – Wizja lo-  
kalna wykazała, że osoba znajdująca się w pokoju nie mo-  
gła nie zauważyć nieboszczyka. Czyli zabił Stefan Jagiełło,  
nie może pani zaprzeczyć.

– A pan co zauważył?

– Ja zauważam wszystko. Jestem policjantem, więc mam  
wyczulone zmysły. Dla nas, policjantów, to chleb powsze-  
dni. Kątem oka dostrzegamy rzeczy, które innym umyka-  
ją... Pani Lucjo!

– Tak? – zapytałam uprzejmie.

– Pani zdjęła bluzkę!

– Zgadza się.

– Kiedy?

– Dwie i pół minuty temu, kiedy pana umysł był zaabsor-

bowany pytaniami.

– Ale dlaczego?

– Chciałam sprawdzić, czy kątem oka pan to zaobserwuje. Przyszło mi do głowy, że jeśli pan nie zauważy, że siedzę bez bluzki, to możliwe jest, że wchodzący nie zauważyli, że za biurkiem siedzi denat. To co? Wzywamy pana Stefana Jagiełłę na przesłuchanie?

## Rozdział 12

Zgaduję, że nigdy nie prowadziliście przesłuchania podejrzanego w obecności ofiary, która, choć zupełnie nieżywa, nadal przebywa w pomieszczeniu ciałem (choć nie duchem).

– Kiedy, do cholery, przyjedzie ten karawan? – zirytował się Konieczny.

– Panie aspirancie, melduję, że dostępność karawanu nadal jest ograniczona – wrzasnął Władek i wyprężył się jak struna. Z okazji delegacji do Warszawy ubrał się w czarny garnitur, w tym samym kolorze miał kapelusz i prochowiec, który na szczęście pozostał na wieszaku w przedpokoju. Wyglądał jak tajniak z wczesnych Jamesów Bondów.

– Jak bardzo jest ograniczona? – zapytał Konieczny cicho, co, jak już wiedziałam, było wstępem do awantury.

– Dostępność pojazdu pogrzebowego przesunęła się na godzinę dwudziestą – zameldował Władek.

– Kompletnie im odwaliło! – wrzasnął Konieczny. – Mamy tu z trupem siedzieć?! Może jeszcze w bierki z nim pograć?!

– Melduję, panie aspirancie, że dostępność denata pod względem gier też jest ograniczona – zameldował Władek.

– Jezus Maria! – jęknął Konieczny. – Wąski oszaleje. A ja wcześniej.

– Wąski leje! Wąski leje! – wrzasnął Maciuś.

– Zamknij dziób! – skwitował Konieczny.

– Tak jest – Władek się wyprężył.

– To nie do ciebie, ale w sumie może być. Odmaszerować. I przyślij do gabinetu Stefana Jagiełłę.

Konieczny rozejrzał się po pokoju i podszedł do stolika



pod oknem, nakrytego obrusem wartym trzy tysiące pięćset złotych. Wiem, bo mam rachunki. Ściągnął go i okrył nim ciało Polenda. Obrus był haftowany w chińskie smoki, więc tam, gdzie wcześniej znajdowała się głowa nieboszczyka, ziała smocza paszcza. Można było kręcić horror.

– Idealnie – ocenił Konieczny. – To pozwoli uniknąć zamieszania.

Nie miał czasu dłużej podziwiać swojego dzieła, bo drzwi do gabinetu otwarły się i do środka wkroczył Stefan Jagiełło. Konieczny przybrał marsową minę i zaczął spacerować po gabinecie z rękoma splecionymi za plecami.

– A więc, panie Stefanie, pana sytuacja nie jest za ciekawa – zaczął. – Wchodzi pan jako ostatni, jako ostatni widzi pan denata żywego...

– Ale ja chciałem tylko... – usiłował się wtrącić Stefan.

– Żadnych „ale”! – zagrział Konieczny. – Czas na wyznanie win nadejdzie. Na razie mówię ja. Wchodzi pan do środka, widzi denata. To znaczy wtedy jeszcze nie denata, ale żywego pana Polenda.

Wskazał sylwetkę za biurkiem, ze smokiem w miejscu twarzy. Stefan się wzdrygnął.

– On roześmiany, bogaty, a pan biedny. W głębi duszy czuje pan, że to pan powinien siedzieć za tym biurkiem i się śmiać. Każdy by tak się poczuł, gdyby przyjaźnił się z milionerem od najmłodszych lat. W dodatku musi pan rozwiązywać te durne łamigłówki i wzbiera w panu gniew...

– Ale ja chciałem tylko... – próbował Stefan.

– Cicho! – osadził go Konieczny. – Nie chce pan walczyć o jakiś marny grosz. To znaczy centy australijskie. Panu należy się całość. Pana wzrok pada na spoczywającą na blacie biurka szpilę. Chwyta ją pan. Polend, wygodnie rozpar-

ty w tym cholernie drogim fotelu, szydzi z pana. Pan, zagrożony w rozpacz i słusznym gniewie, po prostu dźga go w kark. W sumie trudno się panu dziwić. Tryska krew, Poland umiera, a uśmiech zastyga mu na ustach. I czuje się pan innym człowiekiem. Tak było, prawda?

– Tak – jęknął Stefan.

– No i widzi pani, wyszło na moje. – Konieczny uśmiechnął się do mnie. – Aresztujemy winnego, sprawa zamknięta. Wszystko razem nie trwało nawet pięciu minut. Morderca przyznał się do zbrodni. Tak pracuje polska policja!

– Ale ja wcale nie powiedziałem, że go zabiłem – wyjaśnił Jagiełło.

– Sam słyszałem. – Konieczny uniósł zdumiony brwi.

– Przyznałem się, że czułem się innym człowiekiem – powiedział Stefan. – Od początku, jak tylko wszedłem, mówiłem, to znaczy próbowałem powiedzieć, że jestem kimś innym, że szef mnie tu przysłał po papiery, co ich zapomniał, i żeby jeszcze raz zmierzyć ściany w gabinecie, bo się rąbnął w obliczeniach. A tu wszyscy się na mnie rzucają i wołają: „Stefan, tyle lat!”, „Stefan, gdzie ty się podziewałeś?”. Próbowałem wytłumaczyć, że nie jestem Stefanem i mam tylko zmierzyć te ściany, ale potem przyszła pani. – Wskazał na mnie. – A później przyjechała pizza. No to zjadłem, lubię hawajską. A wtedy mi mówią, żebym wchodził i odpowiadał na kilka pytań, bo pieniądze z tego mają być, i może duże. Pomyślałem: „Czemu nie?”. Lubię rozwiązywać krzyżówki, a nuż coś się trafi.

– To kim pan jest? – jęknął Konieczny, opadając na fotel.

– Stanisław Zagórny, firma Drewmaks. Czy bardzo by państwu przeszkadzało, jakbym tutaj te ściany zmierzył? Bo szef mnie zabije, jeśli wrócę bez pomiarów.

## Rozdział 13

Znacie tę rzeźbę pokonanego wojownika, który już leży na ziemi, ale jeszcze trochę żyje? Niemniej wiadomo, że to jego ostatnie chwile? Konieczny bardzo przypominał tego wojownika. Leżał na szezlongu i zażądał mokrego ręcznika na głowę. Kiedy jednak wyraziłam zdanie, że przesłuchanie kolejnych świadków z ręcznikiem na głowie zaszkodziłoby opinii o polskiej policji, nie wspominając o tym, jakie zdanie miałyby w tej sprawie inspektor Wąski, przyznał mi rację, usiadł i połknął aspirynę. Ta najwyraźniej zadziałała szybko, bo po chwili Konieczny poderwał się z szezlonga i ponownie zaczął krążyć po pokoju.

– Inspektor Wąski twierdzi, że nie jest hańbą upaść, o ile potrafi się wstać – zakomunikował mi. – Proszę zapamiętać te słowa, pani Lucjo. Bardzo pomogły mi w życiu i pani również z pewnością się przydadzą.

Wyraziłam ostrożny entuzjazm i obiecałam, że postaram się zapamiętać. Konieczny z aprobatą pokiwał głową.

- Warto się uczyć od najlepszych – dodał.
- Z pewnością tak właśnie czyni inspektor Wąski.
- No właśnie – przytaknął Konieczny.
- Wstanie pan? – zainteresowałam się.
- Już wstałem – oznajmił aspirant. – Nie tylko dosłownie, z szezlonga, ale również metaforycznie.
- Tak podejrzewałam. – Pokiwałam głową.
- Wstałem, pani Lucjo, bo widzę rozwiązanie zagadki.
- Podzieli się pan nim ze mną?
- W drodze wyjątku, ale tylko z panią. Choć moje pierwsze założenie okazało się błędne, inspektor Wąski mawia:

„Tylko idioci się nie mylą, jedynie mędracy potrafią przyznać się do błędu”.

– I on się przyznaje?

– Tak. To znaczy nie. Po prostu nie popełnia błędów. – Konieczny westchnął. – Ale gdyby popełnił, na pewno by się przyznał. Ja uznałem, że mordercą jest Stefan Jagiełło. I to był błąd. Przyznaję.

– Doceniam. Jest pan w takim razie mędrcom – zauważyłam.

– Nie przesadzajmy. – Konieczny machnął ręką, ale zarumienił się lekko. – Wiem, kto zabił. Skoro nie zrobił tego Stefan Jagiełło, który ostatecznie wcale nie okazał się Stefanem Jagiełło, to zrobiła to poprzednia osoba. Czyli Mateusz Matejko.

– Jest pan pewien? – zapytałam. – A jeśli znowu popełnia pan błąd?

– Wykluczone. – Konieczny się uśmiechnął. – Gdyby miała pani większe doświadczenie w pracy policyjnej, wiedziałaby pani, że najprostsze rozwiązanie jest zawsze trafne.

– Tak mówi inspektor Wąski? – domyśliłam się.

– Skąd pani wie? – Popatrzył na mnie zaintrygowany.

– Dedukcja – wyjaśniłam skromnie.

Konieczny wyjrzał za drzwi.

– Władek, wezwij Mateusza Matejkę! – polecił i spojrzał na mnie triumfalnie.

Mati prawie zderzył się z Koniecznym. Uśmiechnął się promiennie, a na widok denata przykrytego obrusem ze smoczą paszczą na głowie otworzył szeroko oczy.

– Ale czad! Czegoś takiego się nie spodziewałem.

– Pan Polend zapewne też nie – mruknął w odpowiedzi

Konieczny. – Przyjeżdża do kraju rodzinnego, kieruje swe kroki tutaj, żeby spotkać ukochaną rodzinę i poświęcić się naprawianiu zerwanych więzi...

– Myśli sobie: „Jestem gość, zaproszę ziomów na chatę, oko im zbieleje”. – Mati wystawił kciuk w górę i nim zakolysał.

– Nie to miałem na myśli – chrząknął Konieczny.

– A, to w porzo – zgodził się Mati.

– Zastanawiam się, co mogło powodować młodym chłopakiem bez rodziny, żyjącym być może w ubóstwie, do którego pewnego dnia dociera wiadomość, że jego wujecznym stryjkiem...

– Stryjecznym dziadkiem – poprawiłam.

– Stryjecznym dziadkiem jest milioner. I ten milioner być może zostawi mu jakieś pieniądze. To znaczy temu chłopakowi. W sercu chłopaka rodzi się nadzieja, że jego życie całkowicie się zmieni. O trzysta sześćdziesiąt stopni – uściślił Konieczny.

– Że pojawi się kasiora. – Mati pokiwał głową.

– A więc przyznajesz się?

– Do nadziei, że pojawi się kasiora? Wiadomix!

– Więc ten chłopak wchodzi do gabinetu – kontynuował Konieczny – i staje przed koniecznością rozwiązania zadań, które go przerastają. Bo dotyczą być może problemów, z którymi nigdy w życiu się nie mierzył. Choćby kwestii przyrządzania kotletów schabowych. Skąd ma wiedzieć ten chłopak, w czym obtacza się kotlety schabowe przed smażeniem...

– E, to akurat easy. – Mati się skrzywił. – W mące, jajku i bułce.

– Podałem to przykładowo – oznajmił Konieczny z godno-

ścią. – W każdym razie chodziło mi o to, że jakieś pytanie, z pozoru proste, powoduje, że ten młody chłopak za chwilę straci szansę na otrzymanie pieniędzy.

– Widziałem kiedyś serial – wtrącił Mati. – Był tam taki John, który zamordował swojego szefa, bo panikował, że ten mu nie wypłaci kasiory.

– O tym mówię. Chłopak podchodzi do milionera. Jest zrozpaczony, chwytą to, co jest pod ręką, na przykład leżącą na biurku szpilę, i zatapia ją w karku swego stryjecznego dziadka.

– Mógłby pan pisać storiesy do filmików – powiedział Mati z podziwem. – Dobrze, naprawdę.

– A więc tak było? Spiszemy zeznanie, podpiszesz. Jeśli nie byłeś karany, wyrok będzie łagodny. Najwyżej dziesięć lat – zakończył Konieczny zachęcająco.

– Jezu, ile? Jak wyjdę, będę staruszką po trzydziestce! – przeraził się Mati.

– Mógłbyś wyjść wcześniej, za dobre sprawowanie – kusił Konieczny.

– Dzięki, ale to nie wchodzi w rachubę. Z pudła nie mógłbym nadawać storiesów. No i nie zabiłem tego starego.

Konieczny westchnął ciężko i ukrył twarz w dłoniach. A potem spojrzał na mnie ponurym wzrokiem.

– Sama pani widzi, pani Lucjo, jak trudno cokolwiek działać po dobroci. No a pani to mogłaby się jakoś zaangażować, a nie siedzieć z nosem w komórce – rozsierdził się. – Nudzi panią to przesłuchanie?

– Jest bardzo interesujące – zaprzeczyłam.

– Tak, naprawdę w porzo – poparł mnie Mati.

– W porzo! W porzo! – wtrącił swoje trzy grosze Maciuś, ale tym razem Konieczny go zignorował.

– Skoro nie chcesz po dobroci... – zwrócił się znów do chłopaka.

– Myślę, że Mati ma naprawdę mocne alibi i w dodatku uwiecznione na wideo – powiedziałam.

Podetknęłam swoją komórkę pod nos Koniecznemu.

– To grupa na Facebooku – „Pod Płaszczkiem”. Uczestnicy wrzucają swoje filmiki kręcone ukrytą kamerą. Mati bardzo się tu udziela. I jeden z ostatnich filmików przedstawia jego wejście do gabinetu. Proszę zobaczyć. Podchodzi do biurka, jest zbliżenie na kartkę z zadaniami i rozwiązania, które wpisuje. Hm, to akurat była zła odpowiedź. W każdym razie czas się kończy, Mati wstaje, podchodzi bliżej... Polend, jak widać, jest już martwy. A Mati mówi...

– Oj no, puściłem więzankę, bo pierwszy raz trupa na żywo widziałem. – Mati westchnął.

– Tak, duża część komentarzy pod filmikiem poświęcona jest tej więzance – potwierdziłam. – Na oko jakieś pięćset. Na przykład: „Stary ale jazda niezłą więchę puściłeś ja na twoim miejscu to chyba też bym się zjarał”. Cytat oryginalny.

Spojrzałam na Koniecznego. Miał dziwną minę. Chyba podobną musiała mieć żona Lota, kiedy spojrzała na znikającą Sodomę, chwilę przedtem, zanim zamieniła się w słup soli.

– Znaczy ty to wszystko nagrywasz? – wydusił z siebie wreszcie Konieczny.

– No tak. – Mati się uśmiechnął. – Jak inaczej dostawałbym lajki?

– Zatajasz materiał dowodowy?

– Skąd, przecież wszystko publikuję. W czasie rzeczywistym.

– Aha, czyli ujawniasz materiał dowodowy! – krzyknął Konieczny. – Gdzie masz kamerę?

Mati niechętnie wskazał małą kamerkę przypiętą do kieszeni bluzy, prawie niewidoczną, o ile nie wiedziało się, gdzie patrzeć.

– Konfiskuję – stwierdził Konieczny.

– Ale super, na żywo to jeszcze nigdy mi pies nie zabrał kamerki. To znaczy policjant, przepraszam.

Za późno, bo gwarek od razu wrzasnął:

– Pies! Pies!

– Teraz też nadajesz na żywo? – Konieczny zrobił się purpurowy.

– No teraz to już niestety nie – westchnął Mati. – A szkoda.

– Jeszcze twardy dysk – podpowiedziałam.

– Tak, raz-dwa – zażądał Konieczny i Mati niechętnie wyciągnął dysk z kieszeni.

– Dostanę go z powrotem? – zapytał. – Pożyczyłem od Seby i będzie ostro, jak nie oddam do jutra.

– Do jutra? – Konieczny zrobił się już tak czerwony, że zaczęłam się obawiać o jego zdrowie. – Gdyby tu był inspektor Wąski!

– A kto to jest? Może mógłby powiedzieć kilka słów do mojego kanału – zainteresował się Mati. – Miałby dużą rozpoznawalność. Ogląda mnie sto tysięcy unikalnych użytkowników.

– Nie wiesz, kto to jest inspektor Wąski? – Konieczny opadł na szezlong. O los tego mebla też zaczęłam się obawiać. – Władek, wyprowadź go, ale już! – wrzasnął.

Podkomendny natychmiast pojawił się na progu, usiłując strzelić obcasami. W cywilnych butach mu to nie wyszło.



Kiedy zostaliśmy sami, Konieczny spojrzał na mnie z rozpaczą.

– Pani Lucjo, to kompletnie wbrew przepisom i niech pani natychmiast zapomni, co zaraz powiem.

– Już zapomniałam – zapewniłam go.

– Niech pani zapomni dopiero po tym, jak to powiem – uściślił. – Czy nie ma tu odrobiny koniaku albo whisky? Czuję, że zaraz oszaleję.

## Rozdział 14

– Proszę bardzo. – Podeszłam do chińskiej sekretary (jedenaście tysięcy pięćset złotych). Otworzyłam ją, nalałam rémy martin (trzysta złotych butelka) i podałam mu kieliszek.

– Dziękuję, pani Lucjo, można na panią liczyć. – Konieczny chrząknął i umoczył wargi w koniaku. Z zadowoleniem stwierdziłam, że wróciły mu normalne kolory. – Mogę na panią liczyć także w kwestii dyskrecji?

– Z całą pewnością.

– Dziękuję. – Wychylił zawartość kieliszka jednym haustem. – A więc to nie on.

– Tylko idioci się nie mylą – pocieszyłam go. – Sam pan to mówił.

– Tak mówiłem?

– I jeszcze, że trzeba się podnieść i iść dalej – podsunęłam.

– Tak. – Westchnął ciężko i spojrzał z nadzieją na butelkę. – Może malutka doleweczka?

– Później – poradziłam. – Może się jeszcze przydać.

– Ma pani rację – powiedział. – To banda wariatów. Czy pani słyszała, że ten cały Mati nawet nie wiedział, kim jest inspektor Wąski?

– Na własne uszy – zapewniłam.

– No właśnie – jęknął i potarł czoło. – Może jeszcze jedna aspiryna mi pomoże. Więc Mateusz Matejko nie jest mordercą. Wiem jednak, kto nim jest.

– Ja też mam pewne podejrzenia – zgodziłam się.

– To dość oczywiste. Skoro nie Mateusz, to... Kto wszedł

przed nim?

– Edyta Sienkiewicz – przypomniałam.

– Od razu wydała mi się podejrzana – mruknął Konieczny. – Ta cała inteligencja binokularna...

– Molekularna.

– Właśnie. Ktoś taki z pewnością jest zdolny wbić szpilę, i to nie tylko metaforycznie. Dobrze, że nie zabiła przy okazji męża.

– Zdaje się, że do tego akurat niewiele brakuje.

– To może każe Władkowi, żeby trzymał ich oddzielnie? – zaniepokoił się Konieczny. – Inspektor Wąski zawsze powtarza: „Kiedy tygrys poluje, chroń kozy”.

– Mariusz Sienkiewicz nie przypomina kozy – zauważyłam.

– Koza do woza! Koza do woza! – ucieszył się Maciuś.

– Ten ptak wpędzi mnie do grobu – poskarżył się Konieczny. Wychylił się za drzwi i zawołał do Władka, żeby wprowadził Edytę Sienkiewicz.

Edyta wmaszerowała dumnym krokiem, jakby całe życie nie robiła nic innego, tylko była przesłuchiwana w obecności zwłok przykrytych obrusem z podobizną smoka.

– Chciałam powiedzieć, że to karygodne trzymać niewinnych ludzi tak długo, że aż przepadają im drogie i trudno dostępne zajęcia. Wysunę roszczenia do komendy stołecznej w związku z przepadkiem zadatku – zawiadomiła Koniecznego, który obserwował ją szeroko otwartymi oczami. – Proszę podać mi nazwisko zwierzchnika, do którego mogę skierować pismo.

– Chce pani pisać do inspektora Wąskiego? – wyszeptał ze zgrozą Konieczny.

– Jeśli tak się nazywa, to oczywiście. Wygarnę mu

wszystko.

– Ależ on panią zamknie – wyjąkał Konieczny.

– Niech tylko spróbuje. – Ujęła się pod boki. – Każdy to wie, że nie można zamykać ludzi ot tak. Niby na jakiej podstawie?

Konieczny spojrzał na mnie z rozpaczą. Postanowiłam podać mu pomocną dłoń.

– Pani Edyto, czy pan Polend był martwy, kiedy weszła pani do gabinetu? – zapytałam uprzejmym głosem.

– Oczywiście, że był nieżywy. – Edyta wzruszyła ramionami. – Martwy jak trup.

– A skąd pani jest taka pewna tego faktu? – zapytał Konieczny.

– A stąd, że podeszłam, żeby sprawdzić mu puls – wyjaśniła. – Wiedziałam, że mogę się spóźnić na zajęcia, więc chciałam szybko to załatwić. Pulsu nie miał, a do tego w jego karku tkwiła szpila. Jak szpila tkwi w karku, to się nie żyje. Każdy to wie.

– Aha – wydukał Konieczny. – I mam uwierzyć pani na słowo?

– Mogę pokazać zdjęcie. – Edyta wyciągnęła komórkę. – Proszę spojrzeć na godzinę. Siedemnasta trzydzieści dwie, zaraz po tym, jak przestąpiłam próg gabinetu.

– To się zgadza – potwierdziłam. – Pani Edyta weszła do gabinetu dokładnie o siedemnastej trzydzieści jeden, z jednonominutowym opóźnieniem.

– Byłam w łazience – usprawiedliwiła się Edyta.

– Ale dlaczego zrobiła pani zdjęcie trupa? – Konieczny nie mógł w to uwierzyć. – I dlaczego, na litość boską, nie powiedziała pani pozostałym, że on nie żyje?! To znaczy nie że trup nie żyje, tylko pan Polend – zaplątał się.

– Bo miałam nadzieję, że tak będzie szybciej. Jemu to bez różnicy, a moje dzieci wciąż żyją i potrzebują zajęć z inteligencji molekularnej. Ale pan wszystko utrudnia. – Edyta spojrzała na niego surowo. – Inteligencja molekularna pomaga przyspieszyć proces wnioskowania. Może moja coachka zrobiłaby warsztaty dla policji?

– Niestety skończył się budżet – wyrzucił Konieczny, ocierając pot z czoła.

– Przecież mamy czerwiec – zdumiała się Edyta.

– No właśnie. Mam nadzieję, że inteligencja molekularna umożliwi pani szybkie wyciągnięcie wniosku.

Edyta przetrawiała to przez chwilę w milczeniu.

– A zdjęcie zrobiłam, bo musiałam mieć usprawiedliwienie – powiedziała w końcu. – Żeby coachka nie pomyślała, że zignorowałam te zajęcia. Więc wysłałam jej zdjęcie z prośbą o przełożenie na inny termin.

– I? – zapytał Konieczny słabym głosem.

– Udało się. Coachka odpisała, że bardzo współczuje i morderstwo w rodzinie to wystarczający powód, żeby ubiegać się o nowy termin zajęć. Wie pan, ile musiałabym inaczej czekać?

Konieczny pokręcił głową. Najwyraźniej nie był w stanie wydobyć głosu.

– I zapytała jeszcze, czy dotrę przynajmniej na warsztaty. – Edyta zerknęła na zegarek. – Zaczynają się za pół godziny. Mogę już iść?

Konieczny odprawił ją i położył się na szezlongu. Spojrzał na mnie z rozpaczą. Zrozumiałam i wręczyłam mu kieliszek koniaku.

– Tylko... – zaczął.

– Już o tym zapomniałam – zapewniłam go.

## Rozdział 15

Nagle Konieczny zerwał się z szezlonga. Przestraszyłam się, że zakrztusił się koniakiem. Ale zamiast kaszleć i pokazywać na migi, żebym walnęła go w plecy, podszedł do Polenda.

– Na śmierć zapomniałem! – Pacnął się w czoło. – To znaczy całkiem. Co za szczęście, że ten karawan jeszcze nie przyjechał.

– O czym pan zapomniał? – Trzymałam w pogotowiu butelkę rémy martin, na wypadek gdyby znowu okazała się potrzebna w trybie pilnym.

– Że do zaliczenia kursu muszę wykonać zdjęcie odcisków palców.

– Na miejscu zbrodni? – zdziwiłam się. – Przecież dopiero co wyszła stąd ekipa techników.

– Zbrodni! Zbrodni! – zgodził się ze mną Maciuś.

Konieczny tylko machnął na nas ręką.

– Pozostali zaliczają to na ćwiczeniach. Ale inspektor Wąski powiedział: „Jedź i zrób to na miejscu, tylko nas nie zawieź”. A ja prawie zapomniałem.

– Koniaku? – zaoferowałam.

– Za chwilę. – Aspirant wyjął z plecaka zestaw do zdejmowania odcisków i rozłożył go na biurku. – Niech pani nie mówi przez pięć minut.

– Nie ma problemu, ale nie rękę za ptaka – ostrzegłam.

Na szczęście Maciuś też siedział cicho jak trusia i uważnie obserwował Koniecznego.

Potraficie zdejmować odciski palców? Bardzo jestem ciekawa, jak szybko by wam poszło zdjęcie ich z główki szpili.

Koniecznemu zajęło to dużo więcej niż pięć minut. Konkretnie dziewiętnaście minut i pięćdziesiąt osiem sekund. Sprawdziłam ze stoperem.

Potem kłął przez cztery minuty i trzydzieści osiem sekund. A nie wyglądał na człowieka, który potrafi tak długo przeklinać. Obstawiałabym, że wytrzyma najwyżej dwie minuty, plus minus pięć sekund.

Kiedy skończył zdejmować odciski oraz kłąć, chciałam nalać mu więcej koniaku, ale po namyśle zrezygnowałam. Przez chwilę zastanawiałam się też, czy nie nalać sobie, bo musiałam znaleźć sposób, żeby powstrzymać się od śmiechu. Czarny proszek do zbierania odcisków palców osypał się Polendowi na białą koszulę i umorusał chińskiego smoka na obrusie. Polend wyglądał teraz jak stary górnik, który zakończył szachtę w kopalni, natomiast Konieczny przypominał krążącego w klatce tygrysa.

– Co by powiedział inspektor Wąski? – jęknął i znowu opadł na szeszlony, który wydał głośne skrzypnięcie. Zaczęłam podejrzewać, że meble w gabinecie nie dotrważą do końca śledztwa, jeśli potrwa ono jeszcze dłużej niż godzinę.

– A co zwykł mawiać inspektor Wąski w takich przypadkach? – zapytałam, obserwując obsypanego pyłem denata.

– Nie chciałyby pani wiedzieć – powiedział Konieczny ponuro.

– Coś o zamknięciu?

– Gorzej.

– O degradacji?

– Gorzej. Raczej o powyrywaniu nóg z... pewnego miejsca.

– Brutalne – uznałam.

– Inspektor Wąski potrafi taki być. – Konieczny wes-

tchnął. – Zwykł mawiać: „Brutalność jest oznaką siły. A siła prowadzi do prawdy”. A prawda jest taka, że na tej szpili nie ma ani kawałka odcisku. Najdrobniejszego.

– Być może morderca o to zadbał – podpowiedziałam.

Zauważyłam błysk w jego oku. Konieczny poderwał się z szezlonga i znowu zaczął krążyć po pokoju. Zatrzymał się przy biurku i z dezaprobatą spojrział na przysypanego proszkiem denata.

– Przemknęło mi to przez głowę – przyznał.

– To zuchwały morderca, nie waha się przed usunięciem śladów – podsunęłam mu. – Lub przygotował się do mordy i użył rękawiczek.

– Albo nie musiał się przygotowywać, bo już je miał – podchwycił Konieczny. – Tak! A kto ma rękawiczki? Tylko jedna osoba w tym gronie. – Po raz pierwszy od czterdziestu ośmiu minut i trzynastu sekund na twarzy Koniecznego pojawił się uśmiech. – Sabina Moniuszko! To bardzo elegancka dama, od razu zwróciłem na nią uwagę. Ona jest sprawczynią!

– To nie takie proste. Może ktoś przyniósł rękawiczki ze sobą, a po morderstwie się ich pozbył.

Zobaczyłam, jak Koniecznemu rzednie mina. Może jednak odrobina koniaku by mu nie zaszkodziła.

– Ale jak? – spytał, kiedy już wychylił podany przeze mnie kieliszek.

– Na przykład wyrzucając przez okno – zauważyłam.

– To możliwe. W takim razie szukaj wiatru w polu. – Na twarzy Koniecznego pojawił się wyraz przygnębienia, któremu towarzyszyło opadnięcie na szezlong.

Podeszłam do okna i wyjrzałam na dół. Piętro niżej znajdował się duży balkon. A na środku balkonu leżały rękaw-



wiczki.

– Mamy zgubę – zawiadomiłam Koniecznego, który wydał dźwięk będący zapewne westchnieniem ulgi.

– Władek! – wrzasnął tak głośno, że umarłego by obudził. Polend jednak ani drgnął.

– Tak jest! – Podwładny pojawił się natychmiast.

– Idź do mieszkania pod nami i przynieś rękawiczki, które leżą na balkonie.

– Tak jest! – Władek usiłował trzasnąć obcasami.

– Pani Lucjo – zaczął Konieczny. – Póki czekamy na te rękawiczki, tak sobie pomyślałem, na wypadek gdyby, całkiem przypadkowo, wpadł tu nagle inspektor Wąski i zaczął się zastanawiać, czemu denat jest obsypany proszkiem...

– Tak? – zapytałam.

– Może warto by rozważyć scenariusz, w którym ja zbierałam materiał dowodowy, a pani akurat przechodziła i potrąciła mnie, powodując pewien rozgardiasz...

– Po cóż bym miała to robić? – udałam zdziwienie.

– Może przypadkiem? – zasugerował.

– Wykluczone – uznałam. – Nie uznaję przypadków. Ale...

– Tak? – podchwycił Konieczny.

– Może mogłabym to zrobić, gdyby ktoś życzliwy anulował mi kilka mandatów za przekroczenie prędkości i parkowanie na zakazie.

– Ile? – Konieczny westchnął ciężko.

– Ach, drobiazg. – Machnęłam ręką. – To w sumie był teren zabudowany tylko czysto teoretycznie, stały tam jakieś szopy. A co do zakazu, to teraz ustawiają je już naprawdę wszędzie.

– Ile?

– Jedenaście – powiedziałam. – I jeszcze dwa za jazdę pod prąd na ulicy jednokierunkowej. Ale poza godzinami szczytu.

– Niech będzie – mruknął.

– Panie aspirancie, melduję posłusznie, że osobnicy zajmujący mieszkanie poniżej odmówili wydania materiału dowodowego – zaraportował Władek, który niepostrzeżenie pojawił się w gabinecie.

Konieczny zrobił się purpurowy (przychodziło mu to z coraz większą łatwością, winę zwałałam na koniak) i przysunął się do podwładnego z niebezpiecznie sympatycznym uśmiechem. Takim, jaki musi widzieć mysz, kiedy zbliża się do niej kot.

– Odmówili?

– Tak jest, panie aspirancie. Bardzo stanowczo.

– I ty odszedłeś?

– Tak jest.

– I nie zamknąłeś ich za utrudnianie śledztwa?

– Melduję posłusznie, że jestem po cywilnemu i nie posiadam przy sobie legitymacji służbowej ani odznaki – wyrecytował Władek. – Rzeczony osobnik, który otworzył, powiedział, cytuję: „Każdy może sobie wymyślić, że jest policjantem, i zażądać rękawiczek, więc spadaj, facet, jak nie chcesz, żebym cię psem poszczuł”. Koniec cytatu. Wtedy odszedłem.

– Wąski! Wąski! – zakrakał nagle gwarek, a Koniecznym wstrząsnął dreszcz. Władkiem również.

– To ja już lepiej sam tam pójde – stwierdził aspirant.

I jak powiedział, tak zrobił.

Zostałam z Władkiem. Nie licząc, rzecz jasna, Polenda,

który nadal był martwy. Włączyłam stoper.

Konieczny wrócił po trzech minutach i pięćdziesięciu sześciu sekundach.

– Idź popilnować, czy nikt nie wychodzi – polecił Władkowi i w gabinecie zapadła cisza.

Po długiej chwili Konieczny wypalił:

– Pamięta pani, co inspektor Wąski mówi o błędach?

Skinęłam głową.

– Otóż nie bierzemy legitymacji i odznak na zajęcia. Tam są niepotrzebne.

– Pan też zapomniał – domyśliłam się.

– No skąd! Po prostu zostały w hotelu.

– Duży ten pies? – zainteresowałam się.

– Strasznie. – Konieczny się wzdrygnął. – Pitbull. Prawie wypadł na klatkę schodową.

– Pójdę – zdecydowałam.

– Zagryzie panią – zaprotestował Konieczny.

Wzruszyłam ramionami i wyszłam z gabinetu. Grupa siedząca przy stole w salonie odprowadziła mnie pytającym spojrzeniem, kiedy sięgnęłam do szuflady w komodzie.

Facet, który otworzył mi drzwi piętro niżej, miał przekrwione oczka i bacznie mnie nimi zlustrował.

– Też niby z policji? – zarechotał.

– Żona w domu?

– Tak, a bo co? – Przestał się uśmiechać.

– A bo chciałam jej zwrócić ten złoty szalik, który zgubiła wczoraj – powiedziałam.

– Pani da, to oddam.

– Zastanawiałam się, czemu blondynka miałaby nosić złoty szalik – ciągnęłam. – To mało twarzowe zestawienie. Pana żona jest blondynką, prawda?

Mężczyzna w milczeniu skinął głową.

– A ten szalik zgubiła brunetka. Widziałam wczoraj, jak wychodziła z pana mieszkania. A z tego, co wiem, pana żona była wtedy w pracy – mówiłam pogodnie. – Pomyślałam, że oddam panu ten szalik, a pan go wręczy... właścicielce, ale przedtem chciałabym na moment wyjść na balkon.

– I potem pani odda? – upewnił się. – Ten szalik?

– Ma pan moje słowo.

Przesunął się i zrobił mi przejście. Szybko wyszłam na balkon i zgarnęłam rękawiczki do torebki na dowody. Potem wręczyłam facetowi szalik. Odetchnął z ulgą. Miałam na końcu języka radę, żeby go spalił, ale zachowałam ją dla siebie. W końcu to nie on płacił mi pensję.

Konieczny na widok rękawiczek wybałuszył oczy.

– Jakim cudem ominęła pani psa?

– Nie było łatwo. – Pokiwałam głową.

Rękawiczki, płócienne, takie jak do prac w ogródku, wyglądały na niemal nieużywane. Konieczny ostrożnie wyjął je z torebki.

– Ha! – Rozjaśnił się w uśmiechu. – No i wszystko jasne. Już wiem, kto zamordował Polenda.

– I na pewno mi pan powie.

– Osoba, która nosi odzież w kolorach czerwonym i niebieskim! – wykrzyknął triumfalnie. – Widzę tu wyraźnie niebieskie i czerwone włókna.

– Wspaniale!

– Nie cieszy się pani?

– Bardzo – powiedziałam. – Ale...

– Ach, pani Lucjo. Pani i te pani „ale”. Tu nie ma żadnego „ale”. Dodatkowo dla uzyskania pewności przymierzemy

rękawiczki każdemu z naszych podejrzanych. Ta osoba, na którą będą pasowały, jest mordercą!

– Czytałam taką bajkę. W dzieciństwie. Ale tam chodziło o pantofelki – zauważyłam. – A te rękawiczki mają rozmiar XXL. Będą pasowały na każdego.

– No tak – stropił się Konieczny. – Tym niemniej niebieskie i czerwone włókna poprowadzą nas prosto do sprawcy.

– Ale...

– A pani znowu z tym swoim „ale”.

– Ale nie mamy nikogo ubranego na czerwono. Ani na niebiesko – powiedziałam.

## Rozdział 16

– Nie należy mnożyć bytów nad potrzebę. Najprostsze wyjaśnienie jest zwykle prawdziwe. – Konieczny westchnął z szeszlona. – Tak, pani Lucjo. Zasada Wąskiego sprawdza się w każdym, choćby najbardziej nieprawdopodobnych okolicznościach.

– Brzytwa Ockhama – sprostowałam.

– Jaka znowu brzytwa? Denat zginął od szpili...

– Teorię, o której pan mówi, sformułował uczony mnich Wilhelm Ockham, kilka wieków temu, mówiąc ściśle – zauważyłam.

– W takim razie inspektor Wąski przypomniał ją i wdrożył – wyjaśnił mi Konieczny. – Inspektor zawsze mawia: „Nieważne, kto wymyślił, ważne, kto wdrożył”. Ale do rzeczy, pani Lucjo. Zostały nam do przesłuchania cztery osoby i mój policyjny nos mówi mi, że morderstwo to sprawka tego Mariusza Sienkiewicza.

– Jest pan pewien? – zapytałam.

– Proszę dać mi kilka minut, wyciągnę z niego całą prawdę.

Konieczny zerwał się z szeszlona i wrzasnął na Władka, który po kilkunastu sekundach zjawił się w progu z Mariuszem Sienkiewiczem.

– Myśli pan sobie, że łatwo się z tego wywinie? – Konieczny zmierzył Sienkiewicza srogim spojrzeniem.

– Obawiam się, że nie. – Podejrzany smętnie zwiesił głowę.

– I dobrze pan myśli. – Konieczny chrząknął. – A więc przyznaje się pan do winy?

– Być może było w tym trochę mojej winy – pisnął Sienkiewicz cienkim głosem. – Ale proszę zrozumieć, zostałem doprowadzony do ostateczności.

– Ależ rozumiem. – W głosie Koniecznego pojawiła się nutka łagodności. – Sam bym tak postąpił na pana miejscu.

– Naprawdę? – Sienkiewicz otworzył usta ze zdumienia.

– Tak. Co więcej, myślę, że każdy by tak postąpił.

– Pan pierwszy mi to mówi – wyszeptał z wdzięcznością Mariusz. – Inni powtarzali: „Zastanów się najpierw, to może się dla ciebie źle skończyć. Nakryją cię”.

– Zbrodnia nie popłaca – przyznał Konieczny.

– Ale czy to znowu taka wielka zbrodnia? – zastanowił się Sienkiewicz.

– No cóż. – Konieczny wskazał ręką ciało Polenda wciąż siedzące za biurkiem.

– Nie sądzi pan chyba, że miałem coś wspólnego z tym pożałowania godnym wypadkiem?! – wystraszył się Sienkiewicz.

– Przecież właśnie się pan przyznał! – huknął Konieczny i spojrzał na mnie z rozpaczą. – Przyznał się, prawda? Słyszała to pani?

– Pan Sienkiewicz przyznał się do czegoś, ale nie wyjaśnił do czego, choć mam swoje podejrzenia.

– Do czego się pan przyznał? – warknął Konieczny.

– To ja już powiem – jęknął Sienkiewicz. – Pani Lucja świadkiem, że moja żona to złota kobieta, tylko nie da się z nią wytrzymać.

– Człowieku, co zrobiłeś, gadaj zaraz! – ryknął Konieczny.

– Przecież mówiłem, to żadna zbrodnia. – Sienkiewicz siedział blady i przerażony. Zrobiło mi się go żal. – Po pro-

stu jest taka jedna Irmina, w pracy. Kupiła mi raz krawat i powiedziała, że ładnie mi w niebieskim. Ja ją zaprosiłem na koncert. Ona dała mi bransoletkę...

– Irmina! Cud dziewczyna! – wrzasnął znieścacka gwarek.

– Ciiii – próbował go uciszyć Mariusz. – Bo jak moja żona się dowie...

– Czyli ma pan romans z Irminą? – jęknął Konieczny.

– Przyznaję się. – Sienkiewicz zwiesił smętnie głowę.

– I nie zabił pan Polenda?

– Jak miałem go zabić? On był już nieżywy, kiedy wszedłem do gabinetu – obruszył się przesłuchiwany.

– Już to słyszałem – wycedził Konieczny. – Dowody.

– Mam dowód – ucieszył się Sienkiewicz. – Jak wszedłem i zobaczyłem go nieżywego, od razu napisałem do Irminy, żeby powiedzieć, co się stało. I jeszcze do niej zadzwoniłem.

– Może jeszcze zdjęcie pan zrobił? – skrzywił się aspirant.

– Jakby pan zgadł. O, tu jest esemes, napisałem: „Irminko, dziś chyba nie dam rady”. Potem to nieistotne... i zdjęcie.

– Proszę o komórkę. – Konieczny wyrwał mu aparat z dłoni. Zerknął na ekran, przesunął, żeby zobaczyć poprzednie zdjęcie, i uniół brwi. – To da się w takiej pozycji?

Mariusz Sienkiewicz poczerwieniał.

– Tylko to ostatnie zdjęcie dotyczy trupa. To znaczy wujka żony. Tych wcześniejszych niech pan lepiej nie ogląda.

– Zadzwonię, żeby sprawdzić pana alibi. Przełączę na głośnomówiący. – Konieczny wcisnął wybieranie.

– Cześć, Hipciu – rozległ się z telefonu kobiecy głos.

– Aspirant Konieczny z Mazurskiej Komendy Policji,



chwilowo na szkoleniu w komendzie głównej. Czy pani Irmina? – Marsowa mina Koniecznego nie wróżyła nic dobrego.

– Hipciu, jesteś dziś groźnym policjantem i mnie ukarzesz? – Głos stał się zalotny. – Byłam bardzo niedobrą dziewczynką.

– Eee – wydukał Konieczny. – To zależy, czy nie będzie pani utrudniać śledztwa.

– Nie będę utrudniać, panie aspirancie – zaszczebiotała Irmina. – Wezwie mnie pan na osobistą? I sprawdzi pan, czy czegoś nie ukryłam w jakimś zakamarku mojego ciała?

– Słucham? – sapnął Konieczny. – A coś pani ukryła?

– Hipciu, przecież wiesz, że zawsze coś ukrywam – szepnęła kusząco Irmina.

– Powtarzam, tu aspirant Konieczny...

– Ale jutro będziesz dzielnym drwalem, prawda? Już dawno mi to obiecałeś.

– Drwalem? – Konieczny opadł na szezlong i bezradnie podał mi komórkę. – Pani Lucjo, ja oszaleję. Albo inspektor Wąski wszystkich zamknie.

– Wąski zamknie! Wąski zamknie! – zakrakał Maciuś złowieszczo.

– Zamknij dziób! – warknął Konieczny.

Przyłożyłam telefon do ucha.

– Pani Irmino, mówi Lucja Słotka, a ten pan to naprawdę aspirant Konieczny... Tak, chwilowo z komendy głównej... Tak, w Warszawie... Tak, obecny tu Mariusz Sienkiewicz może potwierdzić.

– Potwierdzam, Irmino – krzyknął Mariusz.

Oddałam komórkę Koniecznemu.

– Pani Irmino, czy pan Mariusz Sienkiewicz dzwonił do

pani dziś o siedemnastej trzydzieści sześć? – zapytał Konieczny.

– Nie znam żadnego Mariusza Sienkiewicza – oznajmił stanowczo kobiecy głos w słuchawce.

– Irminko, to ja, Mariusz! Hipcio! – wrzasnął Mariusz.

– A więc, pani Irmino?

– Pierwsze słyszę. Po co miałby do mnie dzwonić?

– Przecież widzę, że dzwonił – wyjaśnił cierpliwie Konieczny. – Na jego komórce jest zarejestrowana rozmowa.

– Rzeczywiście, ktoś dzwonił, ale to była pomyłka.

– Aha. Trudno. Pan Mariusz twierdzi, że może mu pani zapewnić alibi, ale skoro nie dzwonił, to go zamknę.

– Ale ja dzwoniłem, proszę mnie nie zamykać! – wrzasnął Mariusz Sienkiewicz.

– Proszę go nie zamykać! – odwrzasnęła Irmina w komórce. – Teraz sobie przypomniałam, że go znam i dzwonił.

– Znakomicie – ucieszył się Konieczny. – I co mówił?

– Że mam zgrabne nogi...

– Pomińmy to. Co mówił o trupie?

– Że nie będziemy mogli się spotkać, bo właśnie znalazł zwłoki.

– A pani co na to odpowiedziała?

– Że ma świetną pupę.

– Co pani powiedziała o zwłokach?! – ryknął Konieczny.

– Nic. Mariusz przysłał zdjęcie trupa i tyle. Powiedziałam, że w takim razie jutro u mnie.

– To na razie wszystko – mruknął Konieczny, rozłączył się i spojrzał na mnie dzikim wzrokiem. A potem warknął do Sienkiewicza: – Proszę wyjść i nie pokazywać mi się na oczy!

W tej chwili uszła z niego energia i spojrzał na mnie

wzrokiem zbitego psa.

– Zapewne powie pani teraz, że się myliłem...

– Błądzić jest rzeczą ludzką – zapewniłam go.

– Tak – odsapnął. – Niemniej zbliżamy się do światełka w tunelu. „Kiedy zobaczysz światełko w tunelu, sprawdź, czy to nie pociąg” – mawia inspektor Wąski.

– Łatwo pomylić – zgodziłam się.

– Widzę, że pani doskonale mnie rozumie. Być może nadawałaby się pani na policjantkę. Oczywiście po kilku latach nabywania wiedzy specjalistycznej – podkreślił.

– Oczywiście – przytaknęłam.

## Rozdział 17

Praca Home Disaster Manager nauczyła mnie, że niemal codziennie należy spodziewać się końca świata, ostatecznej zagłady i pokrzyżowania planów. Do czego, jakimś cudem, nie dochodzi. Oczywiście kiedy ja jestem na miejscu.

Najwyraźniej jednak Konieczny nie był świadomy tej zasady i wagi mojej obecności. Leżał więc na szeszlunku, wpatrując się w sufit i mrużąc ponuro do siebie:

– Pani Lucjo, mógłbym dostać jeszcze malutki kieliszek koniaku? – Uśmiechnął się z wysiłkiem. – W końcu jeden więcej, jeden mniej chyba nie robi już różnicy.

Miałam inne zdanie na ten temat, ale nim zdążyłam się nim podzielić, przerwał mi Maciuś.

– Nie dostaniesz! Nie dostaniesz! – wrzasnął.

Konieczny wyglądał, jakby chciał w niego czymś rzucić, ale nagle zastygł w bezruchu.

– Ten gwarek coś wie – stwierdził stanowczo. – Sama pani słyszała. Powiedział: „Nie dostaniesz”.

– Nie dostaniesz! – upierał się Maciuś.

Konieczny uśmiechnął się z zadowoleniem i odstawił kieliszek.

– Ptak jest naszym jedynym świadkiem. Że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy!

– Może ma na myśli jedzenie? – wysunęłam przypuszczenie.

– Pani Lucjo, proszę wybaczyć, ale to jednak ja jestem policjantem. – Konieczny uśmiechnął się z politowaniem. – Gdyby miała pani szczęście pracować z inspektorem Wąskim, wiedziałaby pani, że naprawdę wielki umysł cza-

sem wpada na wysoce niestandardowe rozwiązania.

– Tak jak pan – odpowiedziałam.

– Właśnie. A właściwie inspektor Wąski. Była taka sprawa mordercy jubilera. Jedyne świadek – mały york. Żadnych odcisków ani śladów. Wie pani, co wówczas powiedział inspektor Wąski?

– Nie mam pojęcia – przyznałam. – Choć mam nadzieję, że to pies rozwiązał sprawę.

– Byliby z pani ludzie – potwierdził Konieczny z uznaniem. – Choć oczywiście dopiero po kilku latach pracy pod kierunkiem inspektora Wąskiego.

– Oczywiście – potwierdziłam.

– Inspektor Wąski powiedział mi wtedy: „Niestandardowe sprawy wymagają niestandardowych rozwiązań”. Mieliśmy trzech podejrzanych: kuriera, palacza i sąsiada. Inspektor Wąski powiedział: „Sprowadzimy ich i okażemy psu”. I tak zrobił, choć inni mieli obiekcje. A jeden nawet się podśmiewał. Tymczasem Wąski podszedł z yorkiem do pierwszego podejrzanego. Pies go obwąchał i nic. Do drugiego – i nic. Do trzeciego – wtedy pies zaczął szczekać. Inspektor Wąski uśmiechnął się wówczas i powiedział: „Mamy cię, kolego”. Byłem przy tym, na własne oczy widziałem, jak inspektor Wąski schwytał yorkiem mordercę.

– I podejrzany wskazany przez yorka się przyznał? – zainteresowałam się.

– Nie od razu. – Konieczny pokręcił głową. – Najpierw twierdził, że zeznanie psa jest niewiarygodne, ale kiedy inspektor Wąski powiedział, że znaleziono też jego odciski palców, złamał się i wszystko wyznał.

– Sądziłam, że nie było śladów – zdziwiłam się.

– Bo nie było. Ale wówczas ujawnił się geniusz inspekto-

ra Wąskiego, który zastosował swoją tajną broń. To się nazywa bluff. Inspektor Wąski zawsze mawia: „Oni nie wiedzą, że ja nie wiem, co oni wiedzą, ale myślą, że ja wiem, czego oni nie wiedzą”. Albo jakoś podobnie – dodał niepewnie. – Tak czy inaczej, muszę przesłuchać tego gwarka.

– O! – powiedziałam.

– Cieszę się, że panią zaskoczyłem. – Skinął głową. – Okażę ptakowi podejrzanych.

Konieczny wyciągnął komórkę i zaczął wyświetlać gwar-kowi zdjęcia. Maciuś oglądał z zainteresowaniem, a na widok jednego przekrzywił łeppek.

– Widziała pani? – wykrzyknął uradowany aspirant. – Coś zaczyna sobie przypominać. Pomogę mu – zainscenizuję wizję lokalną i rekonstrukcję zbrodni.

– Sądziłam, że to się robi w obecności prokuratora i specjalistów – zasugerowałam.

– Zwykle tak, ale jak mawia inspektor Wąski: „Potrzeba matką wynalazków”.

Odłożył komórkę i zaczął skradać się do biurka. Chwycił leżący na blacie długopis, zbliżył się do Polenda i zawołał:

– Giń, giń! Morderca, morderca!

I udał, że wbija z rozmachem długopis w kark ofiary. Maciuś oglądał w skupieniu widowisko. Na koniec zatrzepotał skrzydłami, zachwycony.

– Jak mi poszło. Byłem przekonujący? – zapytał Konieczny.

– Nie mogłam oderwać oczu – zapewniłam i nie było to dalekie od prawdy.

– Wzorowałam się na Robercie de Niro – wyjaśnił z dumą. – Dla pewności powtórzę to jeszcze raz, żeby ptak sobie utrwalił.

Maciuś i ja oglądaliśmy scenę udawanego morderstwa ponownie z wielkim skupieniem.

– I co teraz? – spytałam, kiedy skończył.

– Teraz gwarek wszystko nam powie. Czy mordercą był Stefan Jagiełło? – Stał przed klatką i podetknął ptakowi komórkę z wyświetlonym na ekranie zdjęciem.

Maciuś czyścił piórka i nie wyglądał na zainteresowanego.

– Mateusz Matejko?

Ptak ponownie wykazał brak zainteresowania, podobnie przy zdjęciu Mariusza Sienkiewicza i Sergiusza Skargi.

– Morderca? – zapytał Konieczny i pokazał kolejne zdjęcie.

– Morderca! – wrzasnął Maciuś, tłukąc skrzydłami. – Stara rura!

– Aha! I zagadka wyjaśniona – triumfował Konieczny. – Dobry ptak.

Rozejrzał się.

– Co on je? Inspektor Wąski zawsze rzuca psu kawałek kiełbasy, ale ptakom chyba daje się coś innego?

– Maciuś lubi karmę dla gwarków i kolby ziaren – wyjaśniłam. – Są w komodzie. Czyje zdjęcie mu pan pokazał?

– Edyty Sienkiewicz. Od razu wyglądała mi na winną. I ta cała inteligencja molekularna! Niezwykle podejrzane. Po co uczyć się czegoś takiego, jeśli nie w zbrodniczych celach?

– Nie pokaże pan Maciusiowi pozostałych? – zaproponowałam.

– Nie widzę potrzeby, mamy już przecież morderczynię. Ale skoro pani nalega... – skrzywił się Konieczny. Wetknął w kraty klatki kolbę ziaren.

– Skup się – polecił ptakowi i wyświetlił kolejne zdjęcie.  
A potem następane.

– Morderca! Morderca! – wrzasnął Maciuś, wpatrując się w komórkę. – Stara rura! Stara rura!

– Dziwne – westchnął Konieczny. – Inspektorowi Wąskiemu nie zdarzały się sprzeczne zeznania zwierząt. Czyli w wąskim kręgu podejrzanych znalazły się jeszcze Urszula Skarga i Sabina Moniuszko. Spróbuję ponownie.

I wyświetlił przed klatką zdjęcia Edyty, Urszuli i Sabiny.

– Morderca! Morderca! Stara rura! – upierał się Maciuś.

– Dziwna koincydencja – zadumał się Konieczny. – Inspektor Wąski z pewnością zamknąłby wszystkie trzy. Bo teraz nie mam pojęcia, którą ten głupi ptak obraża, a która z nich jest winna. Konieczna będzie konfrontacja. Władek!

Kiedy policjant pojawił się w progu i wykonał nieudane trzaśnięcie obcasami, Konieczny przekazał mu instrukcję i dał Maciusiowi kolejną kolbę ziaren.

– Świadek powinien być najedzony – wyjaśnił, chwytając moje spojrzenie. – Wtedy może skupić się na zeznaniach i łatwiej mu sobie wszystko przypomnieć. „Najedzony świadek jest bardziej efektywny” – mawia inspektor Wąski.

W pokoju pojawiły się trzy kobiety w towarzystwie Władka. Konieczny zatarł ręce.

– Proszę pań, zrobimy okazanie świadkowi, który rozpozna winną. Proszę ustawić się w szeregu.

– Jakiemu świadkowi? – zdumiała się Edyta.

– Ten oto ptak widział zabójstwo. – Konieczny teatralnym gestem wskazał klatkę. – Władek, czyn swoją powinność.

– Czyli że co? – Policjant wybałuszył oczy.

– Ustaw panie w rzędzie i ptak będzie rozpoznawał. Na



zdjęciach już wskazał podejrzane.

– Przepraszam, ale ja na zdjęciach wychodzę fatalnie – zaprotestowała Edyta. – W ogóle nie jestem do siebie podobna. Ptak na pewno się pomylił.

– On jest bardzo prawdomówny – zapewnił ją Konieczny.

– Ależ ten ptak może złośliwie zrzucić winę na kogoś, kogo nie lubi – zauważyła Urszula.

– Ledwie panią zna – rozwiął jej obawy Konieczny.

– Zwierzęta zawsze mówią prawdę – oświadczył Władek. – Moja ciotka Eleonora miała psa Fafika. Jak raz zapytała, kto wypił cały koniak z barku, pies od razu podbiegł do wuja i zaszcekał.

– Same panie widzą – skwitował Konieczny.

– Przecież to nie pies – obruszyła się Sabina. – To ptak.

– Też zwierzę. W dodatku mówi.

– Ale od rzeczy – upierała się Urszula.

– Też tu widzę koniak – ucieszył się Władek na widok napoczętej butelki. – Ptaku, powiedz, kto wypił koniak?

– Aspirant! Aspirant! – wrzasnął Maciuś, strosząc piórka.

Władek nieco zbladł.

– Przecież na pewno denat wypił.

– Sami państwo widzicie, ptak się myli. – Edyta wzruszyła ramionami i zrobiła krok w stronę drzwi.

– Niestety ptak mówi prawdę. – Konieczny ją zatrzymał.

– Pił pan na służbie?

– To nie jest przedmiotem śledztwa. Poza tym chodziło o eksperyment – wyjaśnił aspirant. – Zaczynamy. Ja podejdem z klatką bliżej, a Władek zasłoni dwie panie obrusem. – Wskazał na obrus w smoki, obecnie czarne, który wcześniej przykrywał Polenda.

– Wykluczone, popsuje mi fryzurę – oburzyła się Edyta.

– Grozi pani o wiele więcej niż potargane włosy – sapnął Konieczny złowróźnie. – Proszę się podporządkować poleceniom służbowym.

Na dany znak Władek zasłonił Urszulę i Sabinę, a Konieczny zbliżył się z klatką do Edyty.

– Morderca? – spytał Konieczny. W jego głosie wyraźnie usłyszałam nadzieję. – Pomyśl spokojnie.

– Stara rura! Stara rura! – wrzasnął Maciuś.

– Wypraszam sobie, co za niewychowane zwierzę! – prychnęła Edyta.

– Pomyśl jeszcze raz, nie spiesz się – namawiał Maciusia Konieczny.

– Stara rura!

– Teraz pani Urszula – zaordynował Konieczny.

Władek zasłonił Edytę, która wzburzona wygrażała gwarkowi pięścią.

– Morderca?

– Morderca!

– Pomyśl spokojnie.

– Morderca! Morderca! – upierał się gwarek.

– No i mamy rozwiązanie. – Konieczny pokiwał głową.

– Ja też sobie wypraszam! – oburzyła się Urszula. – Jestem szanowaną osobą, a ten ptak rzuca na mnie pomówienia. Złożę skargę do Trybunału w Strasburgu o dręczenie ptakiem.

– Bardzo proszę – zgodził się Konieczny. – Dla porządku okażemy jeszcze panią Sabinę.

– Morderca! Morderca! – wydarł się gwarek.

– Mówiłam, że kłamie. Zupełnie jak mój mąż – prychnęła Edyta.

## Rozdział 18

– Zapewne myśli sobie pani, że śledztwo utknęło w martwym punkcie – perorował Konieczny. To było do mnie. – Może nawet sądzi pani, że policja nie wie, co dalej. Bo mamy dwie podejrzane, Sabinę Moniuszko i Urszulę Skargę, a Maciuś na widok każdej krzyczy „morderca”, chociaż o Edycie Sienkiewicz wyraził się tylko per „stara rura”. Zapewne uważa pani, że nigdy nie dowiemy się, kto zabił.

– Ani mi to w głowie – zapewniłam go.

– Polska policja nigdy nie daje za wygraną. I zawsze ma jakiś pomysł na odkrycie winnego. Albo winnej – zawiadomił mnie Konieczny.

– I pan ma – stwierdziłam.

– Tak. – Skinął głową. – Oczywiście mógłbym po prostu zamknąć obie panie, Urszulę i Sabinę. Wymusić zeznanie amerykańskimi metodami. Tak, w ten sposób również można dotrzeć do prawdy, ale nie jest to wygodne dla winnego, który nie jest winny, a musi siedzieć w areszcie. Często takie osoby skarżą się później na niewygodny i kłopoty. Na piśmie.

– Trudno im się dziwić – zauważyłam.

– Na szczęście mają do czynienia z człowiekiem, który potrafi zastosować niestandardowe rozwiązania i doprowadzić do przyznania się winnego. To znaczy winnej.

– Czyli z panem – dopowiedziałam.

– Tak – zgodził się. – Zastosuję konfrontację bezpośrednią z ofiarą.

– Ofiara nie żyje – przypomniałam mu. – To częste u ofiar.

– To detal, który powstrzymałby kogoś innego. Ale nie zastępcę inspektora Wąskiego! Skonfrontuję obie podejrzane z ofiarą. W decydującym momencie przesłuchania ofiara odrzuci narzutę i wstanie, powodując u winnej szok i nieuchronne przyznanie się do winy.

– A u niewinnej atak serca – wysunęłam wątpliwość.

– Ależ skąd. Człowieka bez winy nie poruszy taka scena. Czy panią przestraszyłyby widok pana Polenda wstającego zza biurka i dostałaby pani ataku serca?

– Jestem Home Disaster Manager – wyjaśniłam. – I choć oglądanie zwłok, które się podnoszą, nie należy do moich codziennych obowiązków, muszę być przygotowana na wyłącznie nietypowe sytuacje. Nie dotyczy to jednak innych ludzi, u których taki widok może spowodować pewien dyskomfort.

– Nie demonizowałbym okazania. – Konieczny się skrzywił.

– Tak mówi inspektor Wąski?

– On mówi: „Aby schwytać przestępcę, wykorzystaj wszystkie środki”.

– Również powstającego z martwych denata? – zaciekałam się.

– Nie wspominał konkretnie. Ale jestem pewien, że gdyby to była jedyna możliwość, nie wahałby się ani chwili – wyjaśnił Konieczny.

– Więc zamierza pan udawać zwłoki i w decydującym momencie powstać? – dopytywałam.

– Cóż. – Konieczny chrząknął. – Ja muszę zadawać pytania i oczywiście obserwować reakcje podejrzanych. Pomyślałem sobie, że może pani usiadłaby za biurkiem, ja bym panią przykrył obrusem, a denata przesunęlibyśmy za za-

słonę, fotel ma kółka. W decydującym momencie na mój znak pani by wstała...

– Wykluczone.

– Sądziłem, że zależy pani na odkryciu, kto jest sprawcą. Poza tym dopuściłem panią do śledztwa całkowicie wbrew przepisom. I w momencie, kiedy proszę o drobną przysługę, mówi pani „nie”.

– Mówię „nie” – potwierdziłam.

– Nie spodziewałem się tego po pani. – Spojrzył na mnie z wyrzutem.

Wzruszyłam ramionami.

– Kodeks Home Disaster Manager zabrania wcielania się w zwłoki pracodawcy. Jestem pewna, że pan rozumie. Z pewnością nie wcieliłby się pan w zwłoki inspektora Wąskiego, gdyby ten uległ nieszczęśliwemu wypadkowi.

– Absolutnie nie! – Ta myśl wstrząsnęła Koniecznym.

– Sam pan widzi – skwitowałam.

Konieczny podrapał się po głowie i po chwili rozjaśnił w uśmiechu.

– Mam inny pomysł! Władek!

Policjant pojawił się niemal natychmiast.

– Usiądź na fotelu – polecił Konieczny i Władek posłusznie zasiadł w wolnym fotelu naprzeciwko denata. Konieczny narzucił na niego obrus ze smokami i uśmiechnął się zadowolony z efektu.

– Podobny? – zapytał.

– Pod obrusem każdy jest podobny do denata – stwierdziłam.

– Dobrze. Władek, siedzisz za biurkiem, a ja wezwę podejrzane. Na umówiony znak wstajesz jako zwłoki, a ja obserwuję reakcję podejrzanych. Możesz zawołać „uuuu” albo

coś w tym rodzaju.

– W życiu! – przeraził się Władek, odrzucając obrus. – Moja babcia mówiła, że udawanie zwłok przynosi pecha. Jeden Kazek z naszej wsi po pijaku udawał trupa i zaraz potem naprawdę umarł.

– Na co? – zainteresował się Konieczny.

– Na marskość wątroby.

– Bo pił, tobie to nie grozi.

– Grozi – wyjąkał Władek.

– Czyli pijesz? – zapytał surowo Konieczny.

– Nie, nie, broń Boże.

– Czyli nie grozi. – Konieczny się uśmiechnął. – To się właśnie nazywa „krzyżowy ogień pytań”, pani Lucjo.

– Jestem pod ogromnym wrażeniem.

– Ale ja nie umiem zachowywać się jak zwłoki – szepnął Władek.

– A co to za filozofia? – Konieczny wzruszył ramionami. – Zwłoki leżą i się nie ruszają.

– Te akurat siedzą – zwrócił uwagę Władek.

– Mamy kogoś, kto jest w tej dziedzinie fachowcem – podsunęłam Koniecznemu.

– Jasne! – Aspirant klepnął się w czoło. Podbiegł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. – Panie Sergiuszu, proszę na słówko.

Sergiusz stanął w progu z miną sugerującą, że nie mógł się już doczekać.

– Zapraszamy. – Konieczny uśmiechnął się szeroko.

Sergiusz energicznym krokiem podszedł do biurka.

– Czy te zwłoki według pana wyglądają dobrze? – zapytał, przypatrując się krytycznie Polendowi.

– Zwłoki, proszę pana, zawsze wyglądają źle – wyjaśnił

Konieczny. – Staramy się, jako polska policja, żeby obywatele w ogóle nie oglądali zwłok.

– Ale ja się zastanawiam nad ich ułożeniem, a zwłaszcza uśmiechem – uściślił Sergiusz. – Bo rzadko widuje się uśmiechnięte zwłoki.

– To prawda – zgodził się Konieczny.

– Mam duże doświadczenie w byciu zwłokami. Widział pan Dwudziestego? To ja byłem tym starszym żołnierzem, który padł, wstając z okopów. Bolszewicy mnie zabili.

– Tak, ale... – usiłował wtrącić Konieczny.

– A *Czas honoru*? Jest taka zapadająca w pamięć scena, kiedy jeden z Niemców obrywa od polskiego partyzanta i umiera, wisząc na barierce. Bardzo uciążliwe. Boli brzuch, a kręciliśmy kilka dubli. I nie dostałem obiadu, bo mi powiedziano, że jak będę wisiał oparty na tej barierce, to się porzygam. Potem chciałem zjeść, ale catering już odjechał i głodny wróciłem do domu.

– Przykre, niemniej jednak... – Koniecznemu wciąż nie udawało się przebić przez słowotok Sergiusza.

– Przysięgam, że nie mam z tym nic wspólnego – zarzekał się Sergiusz. – Nie zabiłem wuja. Nawet go palcem nie tknąłem. Kiedy wszedłem do gabinetu, już nie żył. Wierzy mi pan?

– Tak, tak. – Konieczny machnął ręką. – Ma pan szczęście, i tak świadek wykluczył pana z kręgu podejrzanych.

Na twarzy Sergiusza pojawiła się wyraźna ulga. Na szczęście nie spytał, jaki świadek.

– Wezwałem tu pana w innej sprawie. Załóżmy, że musiałby pan odegrać zwłoki pana Polenda.

– Odegrać? – przeraził się Sergiusz. – Bez charakterystyka-

cji?

– Jak by się pan do tego zabrał? – spróbował Konieczny z innej strony. – Powiedzmy, że ten oto Władek udaje zwłoki i chce być w tej roli wiarygodny.

– To nie takie proste – pokręcił głową Sergiusz.

– Odmawia pan współpracy? – nasrożył się Konieczny.

– Statysta funeralny to trudny zawód. Ludzie często mi mówią: „Ty to masz łatwą robotę, leżysz sobie i leżysz, a pieniądze spływają”. Tymczasem nauka leżenia czy siedzenia jako zwłoki w sposób wiarygodny to sztuka, której nabywa się miesiącami, jeśli nie latami. Proszę sobie wyobrazić kluczową scenę w filmie. Reżyser woła: „Akcja!”, ułani galopują, widać wybuchy, a jeden z trupów drapie się w nos. Wie pan, jakie mogą być koszty powtórki tego ujęcia? A widzowie są złośliwi, wciąż doszukują się w filmach zwłok, które się poruszyły lub zmieniły pozycję.

– Nie mamy lat ani miesięcy. Mamy pięć minut. Współpracuje pan czy mam zadzwonić po inspektora Wąskiego? A wtedy nie będzie pan już mógł odgrywać zwłok – zakończył złowróźnie Konieczny.

Sergiusz podrapał się po głowie, obszedł Władka dookoła i krytycznie go zlustrował.

– Należy przyjąć pozycję komfortową – poradził. Ułożył ręce Władka na poręczach, a głowę oparł o zagłówek. – Pan się rozluźni, pomyśli o czymś przyjemnym. Zamyśli. Już?

– Nie wiem, o czym mam myśleć – powiedział Władek.

– Plaża, zachód słońca, łagodny szum fal... – zasugerował Sergiusz.

Władek zamknął oczy i nagle zerwał się na równe nogi.

– Co znowu? – zniecierpliwiał się Konieczny.

– Melduję posłusznie, panie aspirancie, że przypomniam



łem sobie sprawę topiciela ze Stegny.

– No tak! – Konieczny również się wzdrygnął. – Bardzo nieprzyjemna historia. Wiesław O. Miał zwyczaj atakować ofiary o zachodzie słońca. Proponował im wspólną kąpiel, a następnie topił je w morzu. Oczywiście inspektor Wąski posłał go za kratki, ale te zwłoki...

– Melduję posłusznie, że ryby wyjadły im...

– Pamiętam, co im wyjadły – przerwał mu Konieczny. – Może lepiej zostawmy to morze i plażę.

– W takim razie siedzi pan sobie spokojnie w domu, popija piwo. Oczywiście po służbie. Ogarnia pana błogi spokój, nadchodzi weekend... – zaczął Sergiusz.

Władek podskoczył do góry.

– Przepraszam, panie aspirancie. Ale zawsze jak nadchodzi weekend, moja żona prawie głowę mi urywa. Mówi: „Ciągłe tylko przed telewizorem siedzisz, a drewna byś naciął, podjazd umył, naprawił światło, uprzątnął obejście, trawnik wystrzygł, w komórce drzwi się zacinają...”.

– Moje metody zawodzą. – Sergiusz rozłożył ręce.

– Przejmę to – zdecydował Konieczny. – Wyobraź sobie, że zostajesz inspektorem.

– Naprawdę? – Władek otworzył oczy. – Prawdziwym inspektorem?

– Najprawdziwszym – potwierdził Konieczny.

Na twarzy Władka rozlał się błogi spokój, policjant zaległ bez ruchu w fotelu.

– Idealnie – ocenił Sergiusz, sprawdzając, czy wszystkie kończyny Władka spoczywają wygodnie. – Można nakrywać.

– I pan jest moim podkomendnym? – Spod obrusa dobiegł głos Władka.

Konieczny skrzywił się i spojrzał na mnie pytająco. Pokiwałam głową.

– Tak, dalej jestem aspirantem.

– I mogę panu wydawać polecenia?

– Tak – sapnął Konieczny.

– Poproszę koniaku.

– Zwłoki nie piją. Na hasło: „To pani jest morderczynią” wstajesz. A pan wychodzi – wskazał na Sergiusza – i nikomu ani słowa.

Dotoczył Polenda pod okno i ukrył za zasłoną.

– Wzywamy podejrzane.

## Rozdział 19

Pierwsza weszła Sabina. Zmarszczyła brwi i przyjrzała się Koniecznemu.

– Nie powinien pan nosić koszuli w prążki przy pana ceryze.

– Koszula nie jest przedmiotem śledztwa – odparł Konieczny z powagą. – Pani Sabino, zamierzamy dokonać wizji lokalnej. Sprawdzić, jak potencjalny morderca mógł dokonać zbrodni. Proszę podejść do denata i...

– Ale to przecież nie jest denat – zauważyła Sabina.

– Co też pani mówi? – zdumiał się Konieczny. – To pan Polend. Pod obrusem.

– To przecież pana podkomendny. Pod obrusem.

– Ależ skąd – zaprzeczył Konieczny.

– Ależ jak najbardziej – upierała się Sabina.

– Nic podobnego.

– Ja zwracam uwagę na szczegóły. Pana podkomendny nosi niestety białe skarpetki, a Janek, chociaż spędził tyle lat w Australii, nigdy by takich nie założył. Chyba że do gry w golfa. Osobnik pod przykryciem ma białe skarpetki. To policjant.

Konieczny otarł pot z czoła.

– Władek, wyłaź.

Postać pod obrusem nie poruszyła się.

– Władek, raz-dwa.

Nadal nic.

Konieczny podszedł i zerwał z Władka obrus. Policjant tkwił nieruchomo wpatrzony w punkt przed siebie.

– Władek, rusz się, chłopie. – Konieczny szarpnął go za

ramię, ale bez widocznego efektu.

– Jak sądzę, pana podkomendny czeka na hasło. – Chrząknęłam. – „To pani jest morderczynią”.

Władek skoczył na równe nogi i oskarżycielskim gestem wskazał na Sabinę.

– To pani mnie zabiła.

– Za białe skarpetki się nie zabija. – Sabina pokręciła głową.

– Zdejmuj skarpetki – rozkazał Konieczny Władkowi.

– Chce mu pan założyć skarpetki denata? – zdumiała się Sabina.

– Dam mu własne – mruknął Konieczny, ściągając buty i skarpetki. Władek niechętnie rozstał się ze swoimi.

– Buty mogą zostać, są podobne – ocenił Konieczny.

– No nie wiem. Janek nosi Dolce & Gabbana za czterysta dolarów, a pan, zdaje się, coś z przeceny w Deichmannie.

– Są podobne, też czarne. Zmylą każdego, z wyjątkiem pani – warknął Konieczny.

Władek założył skarpetki i buty, po czym umościł się na fotelu, a aspirant nakrył go obrusem. Sabinie kazał się schować za chińskim parawanem (dziewiętnasty wiek, cztery tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć złotych).

– Ani słowa – ostrzegł ją, po czym wytknął głowę przez drzwi i wezwał Urszulę Skargę.

– Długo mi zajęło rozwiązanie tej sprawy – zaczął. – Ale teraz wiem wszystko.

– Wspaniale! – ucieszyła się Urszula.

– Weszła tu pani pełna nadziei na spadek, ale słowa pana Polenda rozwiały te nadzieje. Podeszła więc pani do biurka. Zauważyła szpilę. Pełna rozpaczyci chwyciła ją pani i z rozmachem wbiła w kark pana Polenda. To pani jest

morderczynią.

Sylwetka pod obrusem wstała, wyciągnęła ręce w stronę Urszuli i zawołała: „Uuuu”.

Urszula bez namysłu walnęła Władka torebką.

Władek, wciąż w obrusie na głowie, zatoczył się i przewrócił.

Urszula dopadła go i zaczęła okładać torebką.

Władek wrzasnął.

Zza parawanu wyskoczyła Sabina.

Konieczny złapał Urszulę i unieruchomił ją.

Władek wygrzebał się spod obrusa, rozcierając głowę.

Obserwowałam to wszystko z założonymi rękami. Praca Home Disaster Manager zmuszała mnie już do oglądania dziwniejszych scen.

– To bolało – jęknął Władek. – Kamienie tam pani nosi?

– Po prostu kilka kosmetyków, jak każda kobieta. – Urszula wzruszyła ramionami. – Co to za głupie żarty się panów trzymają? Każdy by tak zareagował.

– Przeciwnie. – Konieczny pokręcił głową. – Komu by przyszło do głowy bić denata? Tylko mordercy, który by się bał, że umarły jest jednak żywy i może na niego rzucić podejrzeń. Morderca chciałby go dobić.

– Myli się pan – oświadczyła Urszula. – Każdy wie, że to, co żywe, jest żywe, a to, co martwe, musi pozostać martwe. Według karmy byt, który przestał być żywy, musi takim pozostać. W innym przypadku przynosi to pecha.

– Gdyby ktoś ożył ze śmierci klinicznej, też usiłowałyby go pani dobić? – burknął Konieczny.

– Ciekawe zagadnienie – zamyśliła się Urszula.

– Śmierć kliniczną bym z tego wyłączyła – zasugerowała Sabina.

– Wszyscy wyjść! – krzyknął Konieczny.

– Dostanę z powrotem moje skarpetki? – zapytał Władek.

– Niech pan sobie kupi czarne, dobrze radzę – powiedziała Sabina.

Kiedy drzwi się zamknęły, Konieczny opadł na szezlong, który tym razem zdecydowanie chrupnął pod jego ciężarem.

– To Urszula – stwierdził. – Jako siostra i tak będzie dziedziczyć, nawet jeśli żaden testament nie okaże się ważny. A w tym domu wariatów na pewno ani jeden nie będzie miał mocy prawnej. Poza tym Urszula miała motyw i sposobność.

Nie skomentowałam tego, bo już wiedziałam, że przyszłość pokaże, jak bardzo się mylił.

## Rozdział 20

Podobno do wszystkiego można się przyzwyczaić. Nawet do siedzących w fotelu zwłok. Mimo to zobaczyłam na twarzy Koniecznego wyraźną ulgę, kiedy rozległ się dzwonek domofonu i zameldowała się ekipa po ciało.

Trzej mężczyźni, którzy weszli do gabinetu, byli jak bracia, w identycznych czarnych garniturach, identycznych krótkich fryzurach i identycznych czarnych rękawiczkach. Czwarty natomiast wyglądał, jakby dodano go dla kontrastu. Malutki, okrągły, z kręconymi włosami i w kolorowej żółto-czerwonej bluzie.

– Żywiec. – Potrząsnął moją dłoń, uśmiechając się szeroko. – Kazimierz Żywiec. Klienci żartują, że powinienem nazywać się Nieżywiec. Bardziej by pasowało.

Po czym potrząsnął także dłoń Koniecznego, a potem Władka.

– To kogo wynosimy? Już zerkam w papiery. – Uśmiechnął się szeroko, jakby sytuacja go bawiła.

– Pana Johna Polenda – powiedział Konieczny. – Jest tu już z nami od kilku godzin.

– Zasiedział się – zachichotał Żywiec. Podeszedł do fotela, na którym spoczywał Polend. – Ale to akurat nic dziwnego. Zwykle klienci cierpliwie czekają. Żadnemu się nie spieszy.

– Nam za to bardzo – burknął Konieczny.

– Ludzie by chcieli, żeby wyniesienie odbyło się natychmiast, jakby to było takie hop-siup w pięć minut – wzruszył ramionami Żywiec. – A przecież to nie worek ziemniaków, żeby zarzucić na ramię. Mamy procedury – mrucał, wertując papiery w teczce. – O, mam. Pan Jan Konieczpolski. Zga-

dza się?

– Tak, albo John Polend – mruknął zniecierpliwiony Konieczny.

– To Konieczny czy Polend? – Żywiec oderwał się od papierów. – Dokumenciki poproszę.

Na twarzy Koniecznego pojawił się ten dziwny wyraz, który wy zapewne też macie, kiedy przydarza wam się déjà vu: wiele razy sami wypowiedzieliście jakieś zdanie, a teraz słyszycie je z cudzych ust. Ale wyciągnął paszport Polenda, a Żywiec przestudiował go z uwagą i smętnie pokręcił głową.

– Nic nie mogę zrobić. Mam zlecenie na Koniecznego, a tu widzę Polenda. Ani słowa o Koniecznym.

– Zmienił nazwisko. Konieczny po australijsku to właśnie Polend.

– Może tak, może nie – zauważył Żywiec sentencjonalnie. – Kiedyś dostałem zlecenie na denata Wiśniewskiego. Przyjeżdżamy, wszystko się zgadza. Jest wdowa – płacze, jest denat – leży. Pytam, czy nazwisko Wiśniewski, wdowa dalej płacze i mówi, że pomyłka, bo Wiśnicki. Co robić, błędzić rzeczą ludzką, nawet jak człowiek to już denat. Pakujemy nieboszczyka w worek, wywozimy, a tu afera w prosektorium, bo zlecenie było na Wiśniewskiego, co go kolega stuknął bejsbolem, jak się pobili o dziewczynę, a ten Wiśnicki to po prostu zapisał się na śmierć, zwyczajnie, a doktorzy kroili nieboszczyka w lewo i w prawo i za nic śladów bejsbola znaleźć nie mogli. Wie pan, ile z tego kłopotów było? W końcu jakiś praktykant znalazł siniaka i napisali, że było pobicie. A tę wdowę oskarżyli o pobicie męża ze skutkiem śmiertelnym. Ledwo ją uratowałem od odsiadki, zeznałem w sądzie, że przez pomyłkę urzędową zabraliśmy



nie tego denata.

– Ten z całą pewnością się nie zapił – warknął Konieczny.

– A to nigdy nie wiadomo. – Żywiec zerknął na do połowy opróżnioną butelkę koniaku stojącą na biurku. – Zdaje się, że też niezłe ciągnął. Pół butelki w tym wieku, to może dlatego wykorkował.

Konieczny zrobił się purpurowy i nic nie powiedział.

– Ja tylko nieboszczyka Koniecpolskiego mogę zabrać, przyczyna śmierci: rana zadana metalowym obiektem – podsumował Żywiec.

– Niech pan sprawdzi, rana jest, metalowy obiekt również, nieboszczyk jest, policjant prowadzący śledztwo też. Czyli ja. Zabieraj go pan i z głowy.

– A bałagan w dokumentach kto będzie potem odkręcał, pan? – obruszył się Żywiec. – I w ogóle nie będzie mi pan rozkazywał. Ja znam inspektora Wąskiego. Czy pan w ogóle wie, kto to jest inspektor Wąski? Nie wiem, czy pan chce, żeby to on wyjaśniał sprawę.

– Czy ja wiem, kto to jest inspektor Wąski? – Konieczny wyglądał na bliskiego apopleksji.

– No przecież pytam – ciągnął poirytowany Żywiec. – Jeszcze chwila, a do niego zadzwonię.

– O nie, to ja do niego zadzwonię! – ryknął Konieczny, wyciągając telefon. – Chce pan odrywać go od kolacji, bo się panu nazwisko pomyliło?

– Po co te nerwy? – Żywiec wzruszył ramionami i schował telefon do kieszeni jak rewolwerowiec broń. – Nie będziemy przecież przeszkadzać inspektorowi Wąskiemu, prawda? Może jest tu jakiś krewny? Wystarczy oświadczenie członka rodziny, że denat to Koniecpolski. A pan od

razu krzyczy i grozi.

– Ja krzyczę i grożę?! Ja?!

– Dawaj pan tę rodzinę – polecił Żywiec.

Trzech bliźniaków dźwignęło Polenda z fotela i zapakowało w worek na zwłoki. W drzwiach prawie zderzyli się z kobietą, którą po sekundzie zidentyfikowałam jako sąsiadkę z dołu.

– Melduję posłusznie, że obywatelka żąda swoich rękawiczek – zaraportował Władek.

– Gdyby to było możliwe... – dodała nieśmiało kobieta.

– To pani rękawiczki? – Konieczny zmarszczył czoło.

Kobieta potwierdziła.

– Pani osobiste?

Skinęła głową.

– To nie mordercy?

Wybałuszyła oczy ze zdumienia.

– Chce pan powiedzieć, że mój mąż... Boże, sama mu kazałam rękawiczki zakładać, jak mi pelargonie przesadzał na balkonie, bo ma zastrzał palca. A on tymi rękawiczkami...

Podniosła rękę do ust.

– Proszę się uspokoić – powiedziałam. – Policyjna pomyłka.

Konieczny spojrzał na mnie z wyrzutem.

– To pani sugerowała, że morderca wyrzucił rękawiczki przez okno!

– Ja tylko wnioskowałam, że morderca mógł wyrzucić rękawiczki przez okno – sprecyzowałam. – Pan natomiast wielokrotnie powtarzał, że nie mam kwalifikacji do prowadzenia śledztwa.

– Nie zdradzajmy cywilom szczegółów policyjnych proce-

dur. – Konieczny uśmiechnął się krzywo i zwrócił do sąsiadki z dołu: – Za późno, rękawiczki zostały skonfiskowane jako dowód rzeczowy. Będę musiał sporządzić notatkę, żeby zdjąć je ze stanu.

– I dostanę je z powrotem?

– Oczywiście – obiecał Konieczny.

Kobieta wyglądała, jakby zastanawiała się, czy go z wdzięczności nie pocałować w rękę. W końcu jednak tylko wycofała się tyłem z gabinetu.

– Kiedy je dostanie? – zainteresowałam się.

– W ciągu trzech do sześciu miesięcy. Nic nie poradzę. Procedury. – Konieczny wzruszył ramionami.

Trzech bliźniaków wyniosło ciało. Żywiec już wychodził, ale klepnął się w czoło i zawrócił. Wyciągnął z teczki kopertę.

– Laboratorium prosiło, żebym to dostarczył. – Podał kopertę Koniecznemu, który otworzył ją i uniósł zdumiony brwi.

– Dobre wieści? – zainteresował się Żywiec.

– Wiadomość poufna. – Konieczny się naburmuszył.

– Idę już, idę. – Żywiec machnął ręką. – A z tym denatem mogę się założyć, że to alkohol. Wytrąbił pół butelki koniaku. W tym wieku to...

– Proszę nie rozpowszechniać niesprawdzonych plotek – pożegnał go chłodno Konieczny. – My tu pracujemy wyłącznie w oparciu o metodę naukową.

Spojrzałam na niego pytająco, ale tylko odwrócił się plecami i udał, że zafrapowały go nagle sztukaterie na suficie.

Zauważyłam na podłodze kawałek materiału. Schyliłam się machinalnie i go podniosłam. To była poszetka Polenda. Pewnie wypadła mu z kieszeni, kiedy bliźniacy trójjajowi

wkładali go do worka. Odłożyłam ją na biurko.

– Pani Lucjo...

Odwróciłam się do Koniecznego. Miał nietęgą minę.

– Muszę pani coś powiedzieć, choć to wbrew przepisom. Chłopaki z laboratorium odkryli na czole denata ślady błyszczyku. Ktoś go pocałował?

– Zapewne kobieta – podsunęłam. – Mężczyźni w dzisiejszych czasach coraz rzadziej się malują.

– I to bardzo konkretna kobieta! – Konieczny uniósł palec. – Inspektor Wąski zwykł mawiać w takich przypadkach: „Wszystkie puzzle trafiły na swoje miejsce”.

– Czekam w napięciu na ten brakujący element układanki – zapewniłam go.

– Otóż nie wiem, czy pani zauważyła, ale właśnie Urszula Skarga ma na ustach bezbarwną pomadkę. Mojemu policyjnemu oku oczywiście nie umknął ten fakt.

– I?

– Podeszła, żeby pocałować brata w czoło. I bach! Wbiła mu szpilę. A biedak cały czas się do niej uśmiechał, nie przeczuwając, że to jego ostatni uśmiech. Władek! Wołaj wszystkich do gabinetu. Będziemy robić ekspozycję.

Nic na to nie powiedziałam. Bo wydawało mi się, że puzzle zaczęły się układać inaczej. Nurtowała mnie ta poszetka. Była zakrwawiona.

## Rozdział 21

Patrzyło na nas czternaścioro oczu, szesnaścioro, jeśli liczyć Władka. I widać w nich było głód. Nie tyle wiedzy, kim był morderca. Już prędzej wszystkim chciało się jeść i pał licho, mogła być nawet pizza hawajska. Od poprzedniej minęło wiele godzin.

Konieczny zgromadził obecnych, obiecując, że rozwiąże zagadkę śmierci Polenda. Najwyraźniej miał nadzieję, że jego talenty oratorskie zostaną docenione. Jednak trudno tego oczekiwać, gdy wszyscy są głodni.

– Długo się zastanawiałem, czy morderca zaplanował swój czyn, zanim wszedł do tego mieszkania – zaczął Konieczny i zrobił teatralną pauzę.

– Więc to mężczyzna! – przerwała mu Edyta Sienkiewicz. – Tak właśnie od początku uważałam. Mężczyźni mordują. Każdy to wie.

– Nic podobnego nie powiedziałem – obruszył się Konieczny.

– A jednak użył pan rodzaju męskiego – poparła Edytę Urszula Skarga.

– Osoba mordercy – poprawił się Konieczny. – Zastanawiałem się, czy znalazła się tu, zakładając, że popełni ten ohydny czyn.

– A, czyli jednak kobieta! – ucieszył się Mariusz Sienkiewicz. Uniósł rękę, żeby przybić z kimś piątkę. Tylko Mati zrozumiał.

– Nic takiego nie powiedziałem! – zdenerwował się Konieczny. – Chodzi mi o rodzaj gramatyczny.

– No niech pan się wreszcie zdecyduje: kobieta czy

mężczyzna? – zniecierpliwiła się Sabina Moniuszko.

– Nie chciałbym przerywać, ale może dałoby się zamówić jeszcze pizzę? – przerwał Sergiusz.

– Można by zamówić – rozmarzył się Władek. – Z pepperoni.

Konieczny zrobił się purpurowy.

– Czy to jest jadłodajnia? Pani Lucjo, niech mi pani powie, czy to bar mleczny, czy może stołówka?

– A ja wolałabym sushi – napomknęła Edyta.

– Cisza! – wrzasnął Konieczny. – Nikt nic nie zje, póki nie skończę.

– A kiedy pan skończy? – zainteresował się Mariusz.

– Nawet nie zacząłem.

– To może niech pan zacznie. – Sabina westchnęła.

– Chciałbym państwu przedstawić morderczynię – zaczął Konieczny, wciągając powietrze.

W tym momencie rozległ się huk. Oczy wszystkich skupiły się na mnie.

– Przepraszam, niechcący potrąciłam. Już sprzątam. – Przyniosłam zmiotkę z łazienki i pozbierałam skorupy wazonu (dwa tysiące czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć złotych). Czułam, że spojrzenie Koniecznego zaraz zacznie zabijać.

– Mogę już mówić? – zapytał, kiedy wreszcie skończyłam. Skinęłam głową.

– Morderczyni najwyraźniej podjęła decyzję tuż po wejściu do gabinetu – kontynuował Konieczny. – Podeszła do pana Polenda, on się uśmiechnął, a ona pocałowała go w czoło i wtedy zadała fatalny cios. Pani... Pani Lucjo, co się stało?

– Nic, zakrztusiłam się – wyjaśniłam, kiedy już minął mi

atak kaszlu.

– Morderczynią jest... – Konieczny zawiesił głos.

– Stara rura! – wrzasnął Maciuś.

– ...pani Sabina Moniuszko – weszłam mu w słowo.

Konieczny wytrzeszczył oczy.

– Pani Lucjo, doceniam pani zaangażowanie, niemniej tylko osoba obeznana z technikami operacyjnymi... – zaczął.

Naprawdę zdążyłam go polubić, chociaż przykładał zbyt wielką wagę do tych technik operacyjnych. Nie mogłam pozwolić, żeby skompromitował się na oczach świadków.

– Pani Sabina weszła do gabinetu – powiedziałam, zanim Konieczny zdążył dodać coś więcej. – Podeszła do biurka, bo pan Polend chciał jej wręczyć szpilę, ale ona zirytowała się tym podarkiem. Po tylu latach, po tylu wspomnieniach dostaje szpilę? Co prawda z Murano, ale masowy wyrób, dla turystów? Wartą sto pięćdziesiąt złotych?

Wszyscy obecni wpatrywali się we mnie okrągłymi oczami. Konieczny też.

– Uznała, że miarka się przebrała. Nie dość, że nie oddał jej pożyczonych przed laty pieniędzy, nie dość, że zamiast obiecanego biletu do Australii przysłał jej pocztówkę zaczynającą się od słów: „Kochana Basiu”, nie dość, że zamiast obdarować ją po prostu w testamencie okrągłą sumką, zmuszał do odpowiedzi na idiotyczne pytania, i jeszcze do tego ta szpila. Nie wytrzymała. Pocałowała go w czoło – przy okazji: pani Sabina też używa błyszczyku do ust, one znakomicie nawilżają wargi – i jednocześnie wbiła mu szpilę w kark. Dokładnie tak, jak to pokazywali na filmie dokumentalnym, który wszyscy państwo oglądali przed wejściem do gabinetu.

Potoczyłam wzrokiem po zebranych. Nikt się nie odezwał. Aż w końcu zrobiła to Sabina.

– Przecież to śmieszne. Nie przypuszcza pani chyba, że zdołałabym wbić szpilę w kark, wszystko jedno – Jankowi czy komuś innemu, i nie pobrudzić przy tym rękawiczek krwią? A moje są czyste. – Uniosła rękę, żeby zademonstrować ten fakt.

– Nie przypuszczam – zgodziłam się. – Po prostu miała pani w torebce drugą parę identycznych rękawiczek. Po morderstwie założyła pani czyste, a te zabrudzone krwią ukryła pani za spłuczką w toalecie.

Konieczny przez chwilę stał jak oniemiały, a potem krzyknął:

– Władek! Sprawdź za spłuczką.

Chwilę to trwało, ale w końcu podkomendny powrócił z triumfującą miną. W wyciągniętej ręce niósł parę rękawiczek. Powalanych krwią.

– Pani Lucjo... – wyrzeźił Konieczny. – Jak pani na to wpadła?

– Och, drobiazg – stwierdziłam skromnie. Ale później, żeby naprawdę nie pomyślał sobie, że to drobiazg, dodałam: – Poszetka.

– Ale co: „poszetka”?

– Była ubrudzona krwią, a jednak znajdowała się w kieszonce na piersi, gdzie krew z karku nie spłynęła. Więc doszłam do wniosku, że wypadła podczas morderstwa.

– Ale przecież... tkwiła w kieszonce pana Polenda, kiedy prowadziliśmy śledztwo.

– No właśnie. – Uśmiechnęłam się słodko. – Podniosła ją pani Sabina. Zrobiła to jeszcze w zakrwawionych rękawiczkach, ale nie zauważyła, że pobrudziła chusteczkę krwią.



Złożyła ją starannie i wsunęła do kieszonki na piersi.

– Ale przecież... to mógł zrobić każdy.

– Nigdy w życiu – wyjaśniłam. – Tylko pani Sabina potrafiłaby tak złożyć poszetkę.

Przez dobrą minutę Konieczny głęboko oddychał, aż jego twarz wróciła do mniej więcej normalnego koloru.

– Wyjaśniłbym to zwięźle i oczywiście bardziej fachowo, ale w sumie się zgadzam. – Skinął głową. – Co pani na to, pani Sabino?

– No cóż. – Sabina pochyliła głowę. – Prawdziwa dama potrafi przyznać się do błędu.

– Aha! Czyli przyznaje się pani, że wyszła z domu z drugą parą rękawiczek w torebce, bo z góry miała pani ułożony plan, żeby zamordować pana Polenda?

– Panie aspirancie. – Sabina Moniuszko popatrzyła na niego z wyższością. – Prawdziwa dama powinna zawsze mieć w torebce zapasową parę rękawiczek na wypadek, gdyby pierwsza się ubrudziła. Wszystko jedno, czy podczas jedzenia hot doga z keczupem, czy morderstwa.

## Rozdział 22

Wyszłam na ulicę. Było już pusto i ciemno. Konieczny chciał mnie koniecznie zatrzymać i obiecywał, że inspektor Wąski zjawi się lada chwila. Mimo to wymknęłam się po angielsku.

Wieczór był piękny. Trawa i kwiaty pachniały, włosy muskał mi letni wietrzyk. Tylko obok mojego forda mustanga błyskały niebieskie światła. Policjant z patrolu spisywał numery. To prawda, stałam na zakazie, ale od kiedy to jesteśmy tacy zasadniczy?

Westchnęłam, wyciągnęłam komórkę i wybrałam numer Koniecznego.

– Co mam zrobić? – jęknął.

– Niech pan blefuje, że Wąski ich zwolni, jeśli założą mi blokadę – poradziłam. – I proszę pamiętać, że obiecał mi pan anulować starsze mandaty.

– To ile ich już jest? – spytał słabym głosem.

– Z tym będzie czternaście.

– Ależ pani Lucjo, inspektor Wąski mnie...

– Przepraszam – przerwałam mu. – Mam inne połączenie.

Numer był nieznany i zastrzeżony, jak zwykle.

– Pani Lucja Słotka? – Głos w słuchawce brzmiał mocno i zdecydowanie. Do tego nie pomylił mojego imienia. – Mam dla pani zlecenie. Zorganizowanie tournée dla bardzo znanej artystki. Poprzednia organizatorka niestety się wycofała. Z dnia na dzień, a właściwie z godziny na godzinę.

– Słucham uważnie – powiedziałam.

– No więc oczywiście jest artystka. Mąż artystki. Ekipa...

- Duża?
  - Och, kilka osób. Makijażystka, trenerka, menedżerka, coach...
  - Bagaż?
  - Oczywiście.
  - Czy to już wszystko?
  - Jeszcze pudełek.
  - Czy to już wszystko?
  - Plus iguana. Nie przepada za pudełkiem.
  - Czy to już wszystko?
  - Mniej więcej. Poradzi sobie pani?
- W życiu nie słyszałam głupszego pytania. To było zadanie w sam raz dla Lucji Słotkiej, Home Disaster Manager.

## KONIEC

Lucja Słotka powróci w tomie  
*Kobieta, która kochała legwana*

# Spis treści

Karta tytułowa	2
Strona redakcyjna	3
Rozdział 1	5
Rozdział 2	16
Rozdział 3	21
Rozdział 4	25
Rozdział 5	29
Rozdział 6	32
Rozdział 7	39
Rozdział 8	50
Rozdział 9	51
Rozdział 10	58
Rozdział 11	67
Rozdział 12	72
Rozdział 13	75
Rozdział 14	82
Rozdział 15	86
Rozdział 16	94
Rozdział 17	100
Rozdział 18	107
Rozdział 19	115
Rozdział 20	119
Rozdział 21	125
Rozdział 22	130